

JACEK CZY AGATKA?

STR. 1 i 6



KTO ZABIŁ?

STR. 10



MATKA i SYN

STR. 8

ODGŁOSY



ROK XVIII NR 21 (911)

22 MAJA 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

24 maja minie trzydzieści lat od chwili powołania dekretemi Krajowej Rady Narodowej dwóch pierwszych łódzkich wyższych uczelni – Uniwersytetu Łódzkiego i Politechniki. W okresie tym Łódź stała się prężnym ośrodkiem nauki i kultury, liczącym się w kraju i na świecie. Chcąc bliżej zapoznać społeczeństwo z osiągnięciami i planami naszych uczelni akademickich, rozpoczynamy cykl rozmów z ludźmi, którzy kierują tymi odpowiedzialnymi placówkami. Na początek, z okazji organizowanych DNI NAUKI głos zabiera prorektor Politechniki Łódzkiej – prof. dr hab. Jerzy Ruciński.

O innej ważnej rocznicy, która w sposób zasadniczy determinuje rozwój naszego kraju, pisze Jan Powoła. Zawarcie w roku 1955 Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej miało decydujący wpływ nie tylko na losy państw, jego sygnatariuszy, ale również na układ sił na arenie międzynarodowej. Zawarcie tego obronnego sojuszu ostudziło militarystyczne zapędy światowych sił imperialistycznych i w decydującej mierze przyczyniło się do utrzymania pokoju na świecie.

Andrzej Blajer kończy swój cykl zatytułowany „Anatomia zbrodni”, traktujący o zamachu na prezydenta USA Kennedy'ego. W świetle przedstawionego materiału nasuwa się nieodparcie wniosek, iż zamach nie był aktem terroru pojedynczego człowieka, lecz że prezydent padł ofiarą spisku politycznego, w który zamieszani byli przedstawiciele big businessu i wstecznych sił politycznych. Tej prawdy nie da się zakamuflować nawet raportem komisji Warrena.

W Prasce wybudowano w ramach międzynarodowego podziału pracy RWPG nowoczesny zakład, w którym produkuje się układy hamulcowe do samochodów. Opracowano jeden z najnowocześniejszych programów infrastruktury społecznej, lecz sposób jego realizacji pozostawia wiele do życzenia. O tym, z jakimi trudnościami boryka się załoga i dyrekcja, pisze L. Włodkowski w reportażu „Pogranicze”.

Krzysztof Pogorzelec zajął się tym razem kwestią mieszkaniową w naszym mieście. Jego wnioski i uwagi dotyczące nowych jakościowo trudności z jakimi spotykamy się przy realizacji wysuniętego przez partię hasła – samodzielne mieszkanie dla każdej rodziny – niewątpliwie zainteresują naszego Czytelnika.

Na koniec chcemy zasygnalizować ciekawy materiał Konrada Frejdlicha o drodze twórczej znanego kompozytora Lecha Orlewicza. Również w „Magazynie” Jacek Bromski prezentuje swój cotygodniowy odcinek rysunkowy.

REPORTAŻ KRAJOWY



LUCJUSZ WŁODKOWSKI

POGRANICZE

Czytaj na str. 7

OBYCZAJE

TADEUSZ MICHALSKI

JACEK CZY AGATKA?

Spotkać ich można codziennie w kuratorium. Przychodzą ze wsi i miast, młode małżeństwa i ludzie w podeszłym wieku, samotne kobiety, matki i ojcowie. Pragną być szczęśliwi i wierzą, że szczęście uśmiechnie się do nich. Dlatego są uparci i niecierpliwi. Dlatego przychodzą, telefonują i piszą. Oczekują konkretnej odpowiedzi. – Kiedy? Kiedy przyjdzie do ich M-3, domku jednorodzinnego czy wiejskiej zagrody to upragnione i wymarzone dziecko. A tymczasem to szczęście nie chce przyjść. Choć właściwie należałoby powiedzieć – nie może przyjść do wszystkich. Dlaczego?

– Proszę pana – zwraca się do mnie kobieta w średnim wieku – chciałam wziąć dziecko na wychowanie. Bardzo pragnę mieć własne dziecko... bo...

Przerywam.

– Proszę pani, niestety, prośba nie może być spełniona, gdyż aktualnie w łódzkich domach dziecka nie ma dziewczynek w wieku przedszkolnym, które można by przysposobić.

Chwila milczenia. Na twarzy kobiety rysuje się zdziwienie.

– A, to pan wie, że ja chciałam dziewczynkę?

Oczywiście, że wiem. Wszyscy, którzy tu przychodzą w sprawie przysposobienia, chcą tylko dziewczynki w wieku przedszkolnym, a najchętniej 3–4-letnie. A więc mamy odpowiedź na postawione w tytule pytanie.

Oczywiście Agatka. Jacek jest w nielase.

Dalszy ciąg na str. 6

WSPÓLISTNIENIE

11-14 maja 1955 r. odbyła się Konferencja Warszawska, na której podpisano Układ o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej, zwany powszechnie Układem Warszawskim. Po złożeniu dokumentów ratyfikacyjnych przez wszystkich sygnatariuszy rządowi PRL — układ nabrał mocy obowiązującej 6 czerwca 1955 r. 10 października 1955 r. Układ Warszawski został zarejestrowany przez Sekretariat ONZ.

Podpisanie Układu Warszawskiego zostało spowodowane potęgającym się zagrożeniem bezpieczeństwa państw socjalistycznych ze strony imperializmu i miało na celu wzmocnienie zdolności obronnej państw socjalistycznych. Słuszność i celowość tego posunięcia potwierdził dwudziestoletni okres działania Układu Warszawskiego, który stał się niezmiernie doniosłym instrumentem skutecznego paraliżowania wojennej polityki państw imperialistycznych.

MOTYWY

Wyniki II wojny światowej były dla systemu kapitalistycznego niekorzystne. Zasięg panowania kapitalistycznego skurczył się. W Europie i Azji szereg państw wkroczyło na drogę budownictwa socjalistycznego, powstał światowy system socjalistyczny.

Decydujący wkład Armii Radzieckiej w rozbięciu koalicji państw faszystowskich spowodował ogromny

natychmiastowej pomocy w wypadku napaści zbrojnej na jedno lub kilka państw — stron Układu.

Niezwykle doniosłą cechą Układu Warszawskiego jest pełna jego zgodność z zasadami pokojowego współistnienia państw o różnych systemach społeczno-politycznych. Państwa socjalistyczne, kierując się w swej polityce zagranicznej strategiczną zasadą

roku istnienia Paktu Północnoatlantyckiego, Ponadto państwa socjalistyczne w Europie podpisały układ dopiero wtedy, gdy do NATO przyjęto RFN wraz z jej potencjałem gospodarczym i militarnym. Do tego momentu dwustronne układy sojusznicze zawarły między państwami socjalistycznymi w latach 1945-1949 były wystarczające, aby zapewnić niepodległość i bezpieczeństwo krajów socjalistycznych.

KOMITET DORADCZY

W strukturze Układu Warszawskiego szczególną rolę przypada Doradczemu Komitetowi Politycznemu. Jak wykazała dotychczasowa praktyka, z uwagi na rangę decyzji podejmowanych przez Doradczy Komitet Polityczny, w pracach tego organu biorą udział pierwsi sekretarze Komitetów Centralnych partii komunistycznych i robotniczych, premierzy rządów poszczególnych państw — sygnatariuszy układu, ministrowie spraw zagranicznych oraz ministrowie obrony. W posiedzeniach bierze udział także naczelny dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego i sekretarz Doradczego Komitetu Politycznego. Na swych posiedzeniach Doradczy Komitet Polityczny podejmuje najważniejsze decyzje polityczne, wysiuchuje sprawozdania naczelnego dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych oraz podejmuje uchwały w podstawowych kwestiach, dotyczących stanu potencjału obronnego swych państw.

W realizacji koalicyjnego systemu obronnego główną rolę spełnia Armia Radziecka. Wojska rakietowe Związku Radzieckiego stanowią podstawową zapórę dla imperialistycznych sił agresji i są koniecznym w obecnych warunkach czynnikiem bezpieczeństwa wspólnoty socjalistycznej, gwarantem pokoju światowego. W zasięgu tych wojsk znajduje się każdy punkt na kuli ziemskiej, w tym także wszystkie bazy militarne państw imperialistycznych. Wobec radzieckiej potęgi rakietowo-nuklearnej Paki Północnoatlantyki utracił inicjatywę polityczno-strategiczną i swobodę manewru.

Istotny wkład w koalicyjny system obrony państw socjalistycznych wnoszą Ludowe Wojsko Polskie, które w latach wspólnej walki z faszyzmem połączyło się braterstwem broni z Armią Radziecką. Nasze wojsko łączy z Armią Radziecką wspólnotę idei i celów, wspólnotę działania bratnich partii, narodów i państw. Rozwijając bojową przyjaźń, spełniając swój internacjonalistyczny obowiązek Siły Zbrojne PRL swym ideowym zaangażowaniem, ofiarnością w służbie, dobrym zorganizowaniem, należyтым wyszkoleniem i nowoczesnym wyposażeniem wnoszą istotny wkład w umacnianie Układu Warszawskiego, stanowiąc silną, niezawodną opłotkę przymierza państw wspólnoty socjalistycznej.



się zimnej wojny. Polegał on na przejściu państw imperialistycznych do nowej, najgroźniejszej formy współzawodnictwa — wyścigu zbrojeń

pokojowego współistnienia, wyrażają szczerą gotowość szerokiej współpracy ze wszystkimi innymi krajami na rzecz pokojowego rozstrzygnięcia wszelkich problemów międzynarodowych. Wszystkie postanowienia układu wiążą się w jedną logiczną całość, podporządkowaną głównemu celowi politycznemu: zapewnieniu pokoju i bezpieczeństwa.

W ciągu dwudziestu lat swego istnienia Układ Warszawski wywarł istotny wpływ na kształtowanie sytuacji międzynarodowej. Przede wszystkim w poważnym stopniu sparaliżował on dążenia imperialistycznych bloków militarnych, dążących do osiągnięcia celów politycznych w drodze nacisków bądź też szantażu wojskowego. Jeśli do tej pory nie doszło w Europie do nowej straszliwej wojny, jeśli istnieją optymistyczne prognozy na przyszłość, to jest to w głównej mierze zasługą Układu Warszawskiego, a przede wszystkim ogromnej potęgi nuklearnej Armii Radzieckiej. Nie ma w tym żadnej przesady, że koalicyjny system obrony państw socjalistycznych okazał się wręcz nieodzowny nie tylko dla bezpieczeństwa sygnatariuszy Układu Warszawskiego, ale także dla innych państw, które nie wchodziły w skład układu. Okazał się niezbędny dla zachowania pokoju w Europie i spełnia rolę swoistego systemu bezpieczeństwa zbiorowego na tym kontynencie.

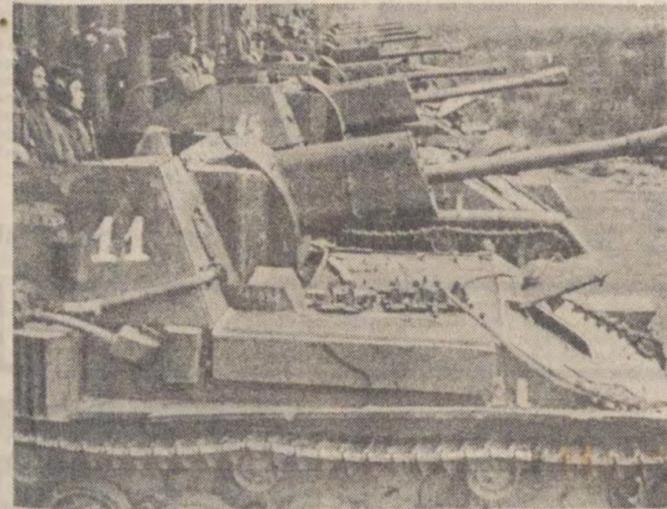
Układ Warszawski jest układem otwartym. Oznacza to, że mogą doń przystąpić inne państwa bez względu na ich ustrój społeczno-polityczny, o ile chcą realizować cele nakreślone układem. Pod tym względem Układ Warszawski diametralnie różni się od Paktu Północnoatlantyckiego i innych ugrupowań imperialistycznych, które są blokami zamkniętymi przede wszystkim dlatego, że mają agresywny charakter. Układ Warszawski jest układem o charakterze obronnym. Został on powołany do życia w szóstym

Jan Powal — podpułkownik, doktor, pracownik naukowy Ośrodka Szkolenia Oficerów Politycznych w Łodzi.

Podpisanie układów paryskich 23 października 1954 r., na mocy których RFN została przyjęta do Paktu Północnoatlantyckiego, pogłębiło podział Niemiec na dwa odrębne państwa. Niemcy zachodnie stały się coraz bardziej europejskim bastionem wrogącego antykomunizmu. Rozpoczęto tworzenie Bundeswehry i przekształcenie jej w podporządkowaną siłę uderzeniową NATO. Ratyfikacja układów paryskich i wejście ich w życie 5 maja 1955 r. wzmogły groźbę agresji w Europie przeciwko ZSRR i innym państwom socjalistycznym. W tej sytuacji państwa socjalistyczne w Europie postanowiły wspólnie utworzyć taki system bezpieczeństwa, który stałby się skuteczną gwarancją niepodległości i utrzymania pokoju.

POKOJOWY CHARAKTER

Układ Warszawski był wynikiem określonej sytuacji międzynarodowej, był konieczną repliką na coraz bardziej niebezpieczne poczynania NATO wobec państw socjalistycznych. Państwa socjalistyczne nie mogły więc dłużej ograniczać swych działań do środków polityczno-dyplomatycznych i propagandowo-demaskatorskich. Zawarcie Układu Warszawskiego stworzyło koalicję obronną państw socjalistycznych, której cele i zadania są zgodne z zasadami Karty Narodów Zjednoczonych. W tekście Układu Warszawskiego czterokrotnie powołano się na Kartę Narodów Zjednoczonych. Sygnatariusze Układu stwierdzili, że w swej działalności będą dążyć do zacieśnienia i rozwoju przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej, zgodnie z zasadami poszanowania niezawisłości i suwerenności państw. Zobowiązali się powstrzymać w swych międzynarodowych poczynaniach od używania siły i zobowiązali się załatwić swoje spory międzynarodowe przy pomocy środków pokojowych, a także udzielać



wzrost autorytetu Związku Radzieckiego na arenie międzynarodowej. Zostały przekreślone rachuby Zachodu na kształtowanie powojennych losów świata bez udziału i uwzględnienia politycznych racji pierwszego państwa socjalistycznego. Związek Radziecki uzyskał polityczne i moralne prawo do wypowiedzenia się w sprawach nie tylko kontynentu europejskiego, ale także do aktywnego współuczestnictwa w rozwiązywaniu spraw globalnych. Ogromne znaczenie miał poważny wzrost sił lewicy i radykalizacja poglądów mas ludowych w państwach kapitalistycznych, szczególnie w Europie. Podczas okupacji we wszystkich niemal krajach Europy na czoło walki z wrogiem wysunęły się partie komunistyczne. W walce z faszyzmem poniosły one wielkie ofiary, ale zyskały sobie duży autorytet i uznanie w opinii mas ludowych. W rezultacie wojny rozwinął się na nie spotykaną dotychczas skalę ruch narodowowyzwoleńczy, szczególnie na kontynencie azjatyckim.

Czołowe państwa kapitalistyczne, z wyjątkiem USA, zostały poważnie osłabione. Niemcy, Włochy, Japonia zostały pokonane, zaś Anglia i Francja, pomimo iż znalazły się w groźnym stanie zwiędnięcia, uległy osłabieniu. Rolę hegemonów w świecie kapitalistycznym objęły Stany Zjednoczone. Państwo to dzięki zbrojeniom podwoiło w latach wojny globalną produkcję swej gospodarki. W 1947 r. udział Stanów Zjednoczonych w produkcji przemysłowej świata kapitalistycznego wynosił 62 proc. Prawie 70 proc. wszystkich zapasów złota świata kapitalistycznego znalazło się w bankach amerykańskich. Broń atomową wykorzystywały USA do uprawiania szantażu politycznego.

Pod kierownictwem Sinów Zjednoczonych państwa zachodnie zaczęły uprawiać politykę „zimnej wojny”. Prowadzono wrogą politykę wobec państw socjalistycznych, próbując restaurować stare porządki w państwach demokracji ludowej, zwalczano siły lewicowe w państwach kapitalistycznych Europy i ruch narodowowyzwoleńczy na innych kontynentach.

Powstrzymanie komunizmu za pomocą siły, zwalczanie sił lewicowych i popieranie reakcyjnych reżimów służyła doktryna Trumana oraz Pakt Północnoatlantyczny. Utworzenie NATO otwierało nowy etap w proce-

Zdjęcia: ARCHIWUM



OKO na GOSPODARKE

MIESZKANIEM MOŻNA ZABIĆ JAK SIEKIERĄ

Każdego dnia — średnio oczywiście biorąc — przybywa w Łodzi około 100 nowych izb mieszkalnych.

Dużo to czy mało? Zależy jak na to spojrzeć. Jeśli na przykład sięgniemy do porównań nie tak znowu bardzo odległych, powiedzmy sprzed 5-10 laty, to już tylko ta jedna liczba pokazuje ogromny wysiłek finansowy i materiałowy, a równocześnie narastanie tempa rozwiązywania chyba jednej z najbardziej palącej sprawy społecznej w naszym mieście i kraju — uzyskanie jeszcze bardziej uczciwej poprawy warunków bytowania przeciętnej polskiej rodziny.

Trudno tutaj ustrec się jednak od pewnych porównań, tym bardziej, że są one niezwykle pouczające zarówno z gospodarczego jak i społecznego punktu widzenia. Otóż, w tym właśnie miejscu chciałbym zwrócić uwagę PT Czytelników na zjawisko, które wrosło w nasze życie tak dalece, że niekiedy po prostu przestajemy je dostrzegać traktując je jak coś oczywistego. Mówiąc tak mam na myśli spóldzielczość mieszkaniową. Sam zresztą mam dobrze w pamięci lata 1956-1957, kiedy na terenie Łodzi — jak zresztą w całym kraju — zaczynała ona ponownie rozwijać swoją wysoce użyteczną działalność napotykać po drodze na rozmaite, nie tylko materialne i techniczne trudności. W grę wchodziły również pewne bariery psychologiczne występujące u przyszłych członków spóldzielni mieszkaniowych. Była to po prostu nowość, którą nie wiadomo było jak... jeść.

Upłynęło jednak nie tak wiele czasu i oto tylko w Łodzi spóldzielczość dysponuje 64 tysiącami mieszkań składających się z blisko 196 tys. izb, a ponadto wybudowała wiele pawilonów handlowych, usługowych, przychodni zdrowia, dwa domy kultury, świetlice osiedlowe i wiele innych urządzeń społecznych i komunalnych. Przytaczając te liczby nie mam jednak bynajmniej zamiaru ukazywać spóldzielczości jako swego rodzaju potentata mieszkaniowego, a chodzi mi tylko o zaprezentowanie jej w roli niezmiernie ważnego czynnika rozwiązyującego społeczny problem głodu na nowoczesne i dobrze wyposażone mieszkania.

Wróćmy jednak do zasadniczej kwestii, która nas tutaj interesuje, a mianowicie wysiłków w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego jakie ponosimy zarówno w naszym mieście jak i w kraju.

Tutaj musimy sięgnąć znowu do liczb, bo bez nich w tym przypadku ani rusz. Węć: — Łącznie biorąc, do końca br., który zamyka aktualną pięcioletkę, wybudujemy w Łodzi nieco więcej niż 150 tys. izb mieszkalnych. Warto tutaj przypomnieć, że wcześniejsze zamierzenia opiewały na 140 tys. izb mieszkalnych, a poza tym w roku 1974 po raz pierwszy udało się w naszym mieście w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego przekroczyć do tej pory „zaczarowaną” barierę 30 tysięcy izb mieszkalnych oddawanych w ciągu jednego roku.

▲ Na następne pięcioletce planujemy budowę w naszym mieście około 200 tys. izb mieszkalnych. Tyle faktów w odniesieniu do Łodzi. A jak ta sprawa wygląda na terenie całego kraju?

Posłużmy się tutaj liczbami przygotowanymi przez Główny Urząd Statystyczny, który bardzo uważnie śledzi wszelkie zmiany w tej właśnie, niezmiernie istotnej z punktu widzenia społecznego dziedziny. Mówią one, że w roku 1974 wybudowaliśmy w Polsce nieco więcej niż 250 tysięcy mieszkań co oznacza, że wyprzedziliśmy o 21 tys. mieszkań rekordowy do tej pory rok 1973, w którym to okresie nasze budownictwo osiągnęło najwyższy od 15 lat pułap. Nieuągliwie jest to bardzo pomyślne zjawisko, ale w budownictwie, jak i w innych dziedzinach produkcji, zawsze należy osiągnięte rezultaty przeciwstawiać potrzebom, a te mówią, iż w roku 1974 — że trzymamy się już tej daty — na mieszkanie oczekiwało w kraju 812 tys. członków spóldzielni budownictwa mieszkaniowego oraz 720 tysięcy tzw. kandydatów. Wśród tych ostatnich było 327 tys. osób niepełnoletnich. Łącznie więc na nowe mieszkanie wyczekiwało 1.532 tys. osób z czego 1.240 tys. — to osoby pełnoletnie obciążone rodzinami.

Już tylko te liczby mówią o rozmiarze potrzeb. Były one niepełne jeśli nie uwzględnilibyśmy w tym rachunku faktów zacierpiętych z naszego podwórka. Otóż jeśli mówimy dziś, że w nowych osiedlach spóldzielczych mieszka już blisko 200 tys. rodzin to musimy również pamiętać, że około 180 tys. — licząc wraz z rodzinami — wyczekuje jeszcze na poprawę swoich warunków lokalowych. I to jest właśnie rachunek potrzeb. Naturalnie zrobiliśmy ogromny skok, a odwołując się do dalszej jeszcze przeszłości — jako swo-

Dalszy ciąg na str. 4

Dalszy ciąg ze str. 3

Istą ciekawostką — należy może podać iż w roku 1938 łódzka spółdzielczość dysponowała na terenie naszego miasta 370 mieszkaniami co ukazuje doskonale możliwości jej działania w tamtym okresie, a równocześnie skalę problemu, który jednak w tamtych czasach nie specjalnie interesował ówczesne władze.

W roku 1974 wydatkowano na terenie całego kraju na budownictwo mieszkaniowe 55,5 mld zł, co stanowiło ponad 12 proc. wszystkich nakładów inwestycyjnych jakie przedsięwzięliśmy w tym czasie na obszarze naszego państwa. Ale i ta liczba nie wyczerpuje złożoności zjawiska. Trzeba bowiem pamiętać, że budownictwo mieszkaniowe to ogromna ssawka rozmaitych materiałów budowlanych, urządzeń, o której trzeba przecież zadbać, wyprodukować. To wreszcie niezwykle ważny czynnik ludzki zdolny podjąć taki wysiłek produkcyjny i to w odmiennych warunkach — budownictwa, które — choć jeszcze nie w pełni — zamienia się w przemysł odchodząc od rzemieślniczych metod, bowiem tylko to daje szansę sprostaną społecznym potrzebom.

Z wszystkich tych faktów należy sobie doskonale zdawać sprawę, bowiem one podkreślają wysiłek socjalistycznego państwa z jednej strony, a z drugiej wskazują na trudności w pracy załóg budowlanych, na odpowiedzialność jaka spoczywa na tej dziedzinie naszego życia gospodarczego. Wydaje się też iż warto sobie powiedzieć o pewnych trudnościach, które — w miarę jak dezaktualizuje się hasło o tym, że mieszkanie zabija jak siekiera — występują w naszym kraju. Wątpliwą chociażby problemem zaopatrzenia naszego rynku w meble. Dające o sobie znać niedostatki, nie są tylko wynikiem wiekszych aniżeli w poprzednich latach, możliwości nabywczych naszego społeczeństwa, zrozumiałych tendencji do odnowy wyposażenia mieszkań, co daje znać o sobie w postaci tzw. zakupów restytucyjnych, ale jest to także rezultat realizacji programu budownictwa mieszkaniowego, którego efektem jest to, że w ostatnich dwóch, trzech latach mamy do czynienia z „Polską przeprowadzającą się”.

Są to więc trudności niejako obiektywne, o innym aniżeli poprzednio charakterze i zupełnie różnej jakości.

Wydaje się, że realizując w coraz szybszym tempie program unowocześnienia infrastruktury mieszkaniowej w naszym kraju, będziemy się spotykali z innymi zjawiskami, jakie nie dały się przewidzieć w momencie podejmowania tego zamierzenia. Tak na przykład aktualnie zaczyna przed nami wyrastać sprawa stopniowego zwiększania powierzchni budowlanych mieszkań co można było już zauważyć w roku 1974. CUS podaje, że w tym właśnie okresie — średnio biorąc — powierzchnia przeciętnego mieszkania budowanego w naszym kraju zwiększyła się o 11 proc. Dużo to czy mało? No cóż, nie chcemy się tutaj wdawać w ocenę, ale chyba jest to dopiero litera „A” z całego budowlanego alfabetu...

Myszę jednak, że operacja zwiększenia powierzchni naszych mieszkań jest stosunkowo prosta nie tylko z punktu widzenia technicznego, ale i psychologicznego. Inaczej ma się rzecz z problemem, który zaczyna podnosić ekonomistów i socjologów. Chodzi mianowicie o „zamykanie” na obecnie praktykowaną strukturę budowlanych mieszkań w naszym kraju, w której to przeważają mieszkania tzw. M-2 i M-3. Zdaniem specjalistów jest to niewłaściwe i w miarę podnoszenia się stanu zaopatrzenia, jak również z punktu widzenia prawidłowego rozwoju rodziny, należy przesunąć wysiłek budowlanych na rzecz wznoszenia wiekszej ilości mieszkań typu M-4 i M-5. Pod tym postulatami zaczęli się ostatnio podpisywać również i działacze spółdzielczy widząc w nim jeden ze sposobów przerwania swego rodzaju „kolomyjki” z nieustanną zamianą mieszkań co wywołuje różnego rodzaju komplikacje jak i zbyteczną pracę absorbującą administrację spółdzielni.

I w tym miejscu dotknęliśmy pewnego problemu, a mianowicie możliwości zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych w naszym kraju.

Jest faktem, że w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich naszych planów wieloletnich, po raz pierwszy zamykamy bieżącą pięcioletnią wydatnym przekroczeniem założeń w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego, że w aktualnej pięcioletniej każdego roku zwiększaliśmy ilość budowlanych izb, że już w roku 1974 oddaję do użytku około 250 tys. izb mieszkalnych przekroczyliśmy o 16 tys. założenia planu pięcioletniego. To wszystko prawda, ale nie deprecjonując bynajmniej tego wysiłku, zaangażowania środków i sił załóg budowlanych, wydaje nam się, że możemy mówić również w przyszłości tylko o relatywnym rozwiązaniu kwestii mieszkaniowej. Zaryzykujemy bowiem takie powiedzenie, że nie ma obiektywnej miary obfitości w tej dziedzinie, że stosownie do wzrostu poziomu życia naszego społeczeństwa, ulegać będą przekształcaniu jego potrzeby, co już i dziś daje o sobie znać w postaci krytyki jakości oddawanych aktualnie do użytku mieszkań. Oczywiście w tym działaniu każda izba, również ta budowana dodatkowo, ponad plan, bardzo się liczy. Ogromnego znaczenia nabiera każda złotówka, tona cementu wyprodukowana dodatkowo z myślą o polepszeniu sytuacji mieszkaniowej w naszym kraju, o realizacji humanitarnego celu postawionego przez partię — samodzielne mieszkanie dla każdej rodziny. Badzmy jednak realistami i oceńmy ten problem również przez pryzmat awansu jaki nasze społeczeństwo dokonuje w innych dziedzinach życia.

KRZYSZTOF POGORZELEC

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH



Fot. Irena Strzemieczna

MIROSLAW
OCHOCKI

Mirosław Ochocki — poeta, krytyk i tłumacz — urodził się 4 marca 1927 roku w Brodnicy na Pomorzu. W czasie wojny przebywał na robotach przymusowych w Rzeszy, po wyzwoleniu ukończył studia na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Łódzkiego, w której to uczelni od kilku lat prowadzi wykłady, m. in. na Wydziale Filologicznym. W końcowym okresie istnienia „Osnowy” był członkiem redakcji tego kwartalnika.

Debiutował w roku 1946 wierszem „Chwile te: ciche...” na łamach poznańskiego „Głosu Katolickiego”; z tygodnikiem tym współpracował w latach 1946—1947 i tam opublikował większość swych, wówczas napisanych, utworów lirycznych. W kilka tygodni po starcie poetyckim nastąpił także debiut prozatorski — opowiadanie „Rocznica”. Pierwszą recenzję wydrukował bodaj w 1951 roku, w 1957 zaś — pierwsze tłumaczenie (wiersz H. W. Audena „Musée des Beaux-Arts”, przełożony wspólnie

z Lechem Budreckim) i jedyny, jak do tej pory, tomik wierszy „Nie ma Jerzego”, wydany w ramach „Biblioteki Poetów” Wydawnictwa Łódzkiego.

Choć uprawia różne rodzaje twórczości literackiej od prawie trzydziestu lat jego dorobek pisarski nie przedstawia się pod względem ilościowym okazale i rozproszony jest po czasopiśmie. Wiersze, opowiadania (kilka zaledwie), recenzje i artykuły krytycznoliterackie Ochockiego znajdują się m. in.: w rocznikach: „Kamień”, „Kroniki”, „Kuznിക”, „Łódź Literackiej”, „Miesięcznika Literackiego”, „Nowej Kultury”, „Nowin Literackich”, „Odgłosów”, „Osnowy”, „Poezji”, „Twórczości”, „Wsi”, „Życia Literackiego” oraz prasy codziennej, a także w antologiach: „Wiersze o braterstwie” (oprac. I. Sikirzycki, 1951), „Łódź w walce” (1952), „Tygiel” („Rzecz poetycka”, 1961) i w jednodniówkach: „Walczymy o pokój. Czyn pokojowy Oddziału ZLP w Łodzi” (1950), „Z tej strony. Jednodniówka artystyczna grupy „Nowa Linia” i KL ZMS”. (1961).

Analiza już samej bibliografii tekstów Ochockiego, ułożonej w porządku chronologicznym, nasuwa spostrzeżenie, że po kilkunastu latach pisania wierszy i po próbach prozy autor „Nie ma Jerzego” skłania się raczej ku refleksji nad literaturą i to nie tylko doraźnie komentatorskiej, ale również refleksji ogólniejszej o aspiracjach teoretycznych. Świadcza o tym takie szkice, jak np.: „Układ odniesienia”, „Wyprawa po range”, „Wobec natury rzeczy” (o Jastrunie), „Strefa dzieła literackiego”, zamieszczone w „Poezji” i w „Osnowie”. Dodajmy do tego rejestru szersze omówienia twórczości T. Różewicza, J. Huszczy, A. Kamińskiej, uwagi o prozie E. Hemingwaya i S. Beckett’a oraz liczne wypowiedzi oceniające tomy M. Batora, F. Sagan, a z polskich autorów: T. Chrościelewskiego, Z. Fijasa, J. M. Gisgesa, T. Giegiera, J. Harasymowicza, T. Papiera, S. Pięta, W. Słobodnika, G. Timofiejewa, J. Wyszomirskiego i innych. Odnotujmy także próby w zakresie krytyki teatralnej (recenzje „Ucieczki do Hawru” F. Hochwaelde- ra, wystawionej przez Teatr im. S. Jaracza w 1957 r. oraz „Obrońcy Ksantypy” L. H. Morstina prezentowanej przez Teatr 7.15 w 1961 r.), które jednak nie rozwinęły się później w bardziej „regularne” uczestnictwo w życiu teatralnym.

Odrębną pozycję w dorobku Ochockiego stanowią tłumaczenia z języka francuskiego. Obok utworów poetyckich (H. Michaux, V. Muselli, P. Reverdy) na uwagę zasługują tutaj przekłady fragmentów powieści Samuela Beckett’a „Molly” oraz eseju „Nadzieja i absurd w dziele Fran- za Kafki” z cyklu eseistycznego Alberta Camusa „Młot Syzyfa”.

Prace krytyczne i przekłady wyz- wają się obecnie na plan pierwszy w twórczości Ochockiego, a wybory — jakich autor w tych dziedzinach dokonuje — dowodzą, że mierzy wyso- ko, co uznać należy za objaw bardzo pozytywny i naprawdy warto pisa- rza zachęcić do znaczniejszych na

tym polu przedsięwzięć. Nie da się tego chyba powiedzieć o poezji, a więc tej dyscyplinie twórczej, w której Ochocki wypracował sobie status ite- rata, choć jego liryka refleksyjna za- wiera kilka wierszy dużej klasy.

Zauważyli to zresztą niektórzy re- cenzenci tomiku „Nie ma Jerzego”, podkreślając kulturę literacką auto- ra, muzyczne i obrazowe walory sty- lu, wypracowanego na dobrych wzor- ach ambitnej poezji dwudziesto- wiecznej. Jeden z komentatorów po- równał wiersze Ochockiego do „sta- rannie i wolno wykuwanej w kamie- niu — rzeźby”, przyznał też, że „du- żo przyjemności daje samo głośne od- czytywanie poszczególnych utworów”, gdyż dopiero w tej formie odbioru poezja Ochockiego ujawnia w pełni swe wartości ekspresywne. Z per- spektywy czasu wyrażyciel może dostrzec pożyczki artystyczne, zacię- nięte przed dwudziestoma laty, ale też i wyraźnie widać solidny szlif poetycki tych wierszy, trafnie elimi- nujący nadwyżki stylistyczne na rzecz prostej, jeszcze nie wyeksplowa- nanej metafory, na rzecz skrótu, dys- kretnej sugestii niedopowiedzeń, osz- czednie rozłożonej frazy.

Poezji tej zabrakło jakby „rozpe- du” twórczego, śmielszych prób te- matycznych i warsztatowych w la- tach następnych, toteż dziś bardziej obiecujące na przyszłość wydają się być penetracje literaturoznawcze Ochockiego, dobrze podbudowane pod względem teoretycznym. Interesującą i pożyteczną inicjatywą byłoby ze- branie owej „drobny” krytycznoli- terackiej w jakąś całość, skupioną wokół studiów pokazujących, na naukowych podstawach opisu i osąd- u literatury opartych, co by pozwo- liło na wymierzenie właściwszej ran- gi pracom już wykonanym przez au- tora, a „potopionym” w periodykach.

JERZY RZYMOWSKI

PLASTYKA

ROSYJSCY
I RADZIECCY
PORTRECIŚCI

Portret jest tym rodzajem sztuki, który — obwarowany wielością kano- nów właściwych dla danej epoki i danej szkoły — najpełniej i najdobitniej uzmystawia nam ogólne pojęcie człowieka, charakterystyczne dla owej epoki i szkoły. Ani malarstwo rodzajowe, ani pejzaż, ani obrazy o charakterze kulturowym, ani kompozycje alegoryczne nie dostarczą nam tej ilości ważkich informacji o czło- wieku, co właśnie portret. I to za- równo portret reprezentacyjny, dworski, oficjalny jak i konterfekt kame- ralny, psychologiczny, których wzor- ce koegzystowały obok siebie nie wykluczając się wzajem, a przeciwnie — uzupełniając się, szczególnie w na- szych oczach patrzących z pewnej przeciwiejszej perspektywy. Była zatem sztuka portretowa sztuką szalenie trudną, w której dowolność i impro- wizacja ustąpić musiały miejsca ścis- łym rygorom, wynikającym z koniecz- ności oddania podobieństwa, podkre- szenia pozycji w hierarchii społecznej, oddania prawdy psychologicznej mo- dela, wyraźnego wreszcie określenia filozoficznego stosunku do człowieka, właściwego dla danego okresu histo- rycznego, także dla danej grupy spo- łecznej. Ogromną rolę w sztuce por- tretowej odgrywały zawsze: kompozycja, rekwizyty, sposób upozowania osoby lub osób portretowanych, to na tle którego występowały. Jakakolwiek przypadkowość w doborze tych ele- mentów osłabiała siłę wyrazu, wpro- wadzała fałszywe tony, dezorientowa- ła, nie dawała pełnej charakterystyki modelu, powodowała zakłócenia w warstwie informacyjnej obrazu — słowem, była niedopuszczalna. Odnosi się to do wszystkich epok, niezależnie od panujących w nich kryteriów estetycznych i filozoficznych, a więc w różnym stopniu do realizmu courbeto- wskiego na przykład i do klasycyzmu i do skrajnego idealizmu z czasów Króla—Słońca i do realizmu socjalis- tycznego z jego upodobaniem do por- tretu specjalnego typu. Z tym wszystkim wiąże się również nasza

percepcja portretu jako przekazu historycznego, jako dzieła sztuki — im większy jest dystans czasowy, tym większa gwarancja pełniejszego od- bioru, głębszego zrozumienia jego istotnych wartości artystycznych i funk- cji historycznych.



Fot. Archiwum

W Muzeum Narodowym w Warsza- wie czynna jest wystawa „Portret rosyjski i radziecki” od wieku XVIII po dzieła aktualne. Ta niezbyt duża ekspozycja zawiera wiele dzieł niez- wyknie interesujących, wręcz niezbi- tnych. Rzucą ona również światło na kilka istotnych dla sztuki rosyjskiej momentów, pozwala lepiej zrozumieć — przy uważnym i wnikliwym ogląd-aniu — pewne etapy ewolucji, które ta sztuka musiała pokonać, aby dojść od XVII-wiecznego portretu ruskiego, obciążonego kanonami ikony i „Ju-

boku”, poprzez XVIII-wieczny por- tret jeszcze sztywny, syntetyczny, mimo wyraźnych wpływów barokowych, poprzez wyrazisty realizm XIX-wiecz- nych „pieriedwizników” (Pierow, Kra- mskoj, Repin, Gay, Jaroszenko, Sie- row, Surikow) do portretu radzieckie- go lat dwudziestych i trzydziestych, do aktualnego portretu z lat siedem- dziesiątych (Sieriebriakowa, Samo- chwałowa, Dejneka, Nielewda, inni).

Trzeba sobie uświadomić, że XVIII-wieczni twórcy rosyjskiego portretu znajdowali się w sytuacji skomplikowanej. Z jednej strony gło- boko tkwili, jak już wspominałem, w konwencji ikony — sztuki na wskroś odrębnej i na wskroś ruskiej, odcię- tej całkowicie od tradycji zachodniej — i ludowego „luboku”, popularnego bardzo wśród chłopstwa i najniższych warstw mieszczańsko—kupieckich. Z drugiej zaś stali wobec reform Piotra Wielkiego, jego zapatrzania się na wzory zachodnie w każdej dziedzinie życia, aż po modę, aż po obcinanie bojarom bród. Oficjalnie zatem wymo- gił, jakie poczęto stawiać portretowi, przekraczały właściwie ich kompeten- cje, przerastały ich predyspozycje. Musieli w sobie neutralizować ogro- mny ładunek tradycji, musieli za- pomnieć jednego sposobu, aby móc robić na sposób inny, zachodni. Był to niewątpliwie bolesny zabieg. Nie w każdym przypadku przeszczypty oka-azywały się pełnowartościowe. Niemniej ów zabieg został dokonany, eli- minując ze sztuki rosyjskiej tradycje portretu oparte o ikonę i ludowy drzeworyt. Repin, Kramskoj, Gay, Pierow studiują już dzieła Rembrand- ta, Velazqueza, Halsy, Van Dyck’a, Hogartha. Siłą swego talentu tworzą szkołę na wskroś rosyjską i to zarów- no w portrecie jak i w pejzażu i scenie rodzajowej. Opierając się o wzory holenderskie i francuskie (interesują- ce, że wpływy włoskie są raczej zni- kome, zwłaszcza w portrecie) podej- mują trud stworzenia wizerunku Ro- sji — Ziemi i Rosjanina — Człowieka, mieszkańca i gospodarza tej Ziemi (zwiększa po fikcyjnej ustawie o zniesieniu poddaństwa, która rozpała- umysł i podsycała złudne nadzieje). Trzeba dodać, że artyści rosyjscy sto- sunkowo szybko „usamodzielnili się”, najlepsze dzieła „pieriedwizników” (skróć od Towarzystwa Wystaw Ob- jazdowych) wykazują samodzielność i indywidualizm w traktowaniu tematu. Sztuka rosyjska pod koniec wieku XIX zaczęła żyć własnym, niezależ- nym życiem.

Portret radziecki wspiera się na tra- dycji malarstwa rosyjskiego, wzboga- cając się o nowe treści filozoficzno- -ideowe, będące wypadkową porewo- lucyjnych przemian. Można załować, że na wystawie nie pokazano dostate- cznie wyczerpującego okresu awangar- dy rewolucyjnej, portretów z okresu futuryzmu rosyjskiego i z lat dwu- dziesiątych. A przecież były w tych la- tach dokonania prekursorskie i war- tościowe. Brak tych dzieł stanowi



Fot. Archiwum

wyrwę w ciągu ekspozycyjnym zwła- szcza, gdy uświadomimy sobie ogrom przemian i stan emocjonalny, w jakim znajdowali się twórcy w tamtym, roz- palonym do czerwoności okresie.

Kilka lat temu w „Zachęcie” oglą- daliśmy wystawę sztuki rosyjskiej i radzieckiej od ikony, od Rublowa i anonimowych mistrzów. Oglądając poszerzony wycinek tej sztuki w Mu- zeum Narodowym, musimy zatrzymać się przed obrazami A. Antropowa — dwa portrety małżeństwa Baturinów z 1763 roku, a zwłaszcza przed „Por- tretem nieznanego mężczyzny w mundurze młodzieżowego wojska Piotra I”, anonimowego artysty z początków XVIII wieku, przypominającego w sposobie malowania nasze portrety sarmackie. Dalej musi zwrócić naszą uwagę „Górniczka” Kasatkina i por- tret Jekateriny Aleksandrowy Racz- kowskiej Surikowa, noszący tytuł „Syberyjska piękność” i psychologicz- ny, intymny portret kobiety Mikołaja Jaroszenki z 1881 roku i portrety Re- pina, a zwłaszcza jego wizerunki ma- larzy Gay’a i Miasojedowa oraz por- tret Lwa Nikolajewicza Tolstoj’a, bardzo prywatny, kameralny i również graniczący z dosadną karykaturą, acz- kolwiek doskonale mieszczący się w konwencji portretu reprezentacyjnego konterfektu hrabiego Aleksieja Pawłowicza Ignatiewa, szefa carskiej policji i portret Aleksandra Dejneki z 1935 zatytułowany „Dziewczyna w słomkowym kapeluszu” i obraz z 1972 roku Galiny Nielewdej „Portret ma- larza Wiktora Iwanowicza Ryżych” w pracowni, bezpośredni i prosty...

Chyba właśnie bezpośrednio i prosto są podstawowymi elementa- mi portretu rosyjskiego i radzieckiego portretu lat ostatnich.

KAROL BARSZCZEWSKI

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

Szedłem gwarną ulicą śródmieścia. Naprzeciw mnie podziął niemłody już mężczyzna i przeglądał nie rozciętą numer „Przekroju”. Gdyby to się działo na Narutowicza czy Marszałkowskiej, minąłbym go obojętnie, jako że sam tak nieraz zachowuję się wychodząc z Klubu MPiK. Ale znajdowałem się na Flinders Street, w sercu Melbourne, dwadzieścia tysięcy kilometrów od Polski!

— Przepraszam... gdzie pan to kupił? — przystanąłem.

— Jak to — gdzie? W „Contalu”. Dzisiaj przyszła świeża prasa. Nigdy pan tam nie był? — dodał widząc mój zdziwiony wzrok. — To niedaleko stąd, jakieś sto metrów, numer dwadzieścia sześćdziesiąt sześć. Mutual Arcade, zobacz pan szyld...

I w taki oto sposób znalazłem się w miejscu, gdzie krzyżują się drogi naszych rodaków — zamieszkujących stolicę Wiktorii, w miejscu, skąd polskie słowo, polska muzyka, kultura i sztuka promieniują na ośrodki polonijne nie tylko w prawie trzymilionowym Melbourne, ale i we wszystkich stanach tego kraju-kontynentu.

W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że jestem w jednym z naszych klubów MPiK. Dokoła rozbrzmiewały rozmowy prowadzone po polsku. Na półkach „Życie Warszawy”, „Perspektywy”, „Trybuna Ludu”, „Szpilki”, „Przekroju”, „Piłka Nożna”... Powitał mnie serdecznie dyrektor i właściciel przedsiębiorstwa — Stanisław Zarzecki.

— Przyleciałem z piłkarską drużyną Legii — mówię — którą zaproszono do rozegrania meczów w stolicach pięciu stanów Australii.

— O waszym tournée głośno w prasie australijskiej od miesięcy. Cała Polonia żyje tym wydarzeniem, Legia jest pierwszą polską drużyną, która zagra na boiskach australijskich. Run na bilety niesamowity. Pan z Warszawy?

— Z Łodzi — odpowiadam. — Bardzo przepraszam — podchodzi do nas jeden z klientów — słyszałem, że pan z Łodzi, ja też jestem łodzianinem, w Łodzi żyje moja najbliższa rodzina. Pan pozwoli, że się przedstawię: Jerzy Pawłowski. Mieszka i pracuję w Melbourne. Serdecznie pana do siebie zapraszam. Oto mój adres: 4/18 Nightingale Street, Balaclava, 3183. Może przyjechać po pana?

Sciskam dłoń rodaka i dziękuję za zaproszenie, z którego niestety nie mogę skorzystać, bo jutro rano lecę do Sydney. Chętnie jednak spotkam się w hotelu. Umawiamy się na ósmą wieczór, a p. Zarzecki prowadzi mnie do swego miniaturowego gabinetu. Jest potwornie gorąco, styczeń w Australii to pełnia lata, nie ma czym oddychać, choć aircondition w rogu pokoju pracuje na pełnych obrotach. — Jak doszło do powstania pańskiej firmy?

— Do Australii przybyłem w 1949 roku i jak większość Polaków zacząłem od pracy fizycznej, jako sa-

nitariusz. Jednocześnie zająłem się działalnością społeczną, przez pewien czas nawet wydawałem lokalny „Głos Polski”. Uczestnicząc w jałowych i nie dających dyskusjach na różnych zebraniach doszedłem do wniosku, że najlepszym sposobem nawiązania kontaktu z Polską i propagowania polskości w Australii będzie stworzenie firmy handlowej, która by krzewiła kulturę polską. I tak w roku 1954 powstał Contal.

— Co oznacza ta nazwa? — To skrót od słowa „continental”, kontynentalny, europejski. Zdaje sobie sprawę, że „Contal” brzmi mało atrakcyjnie, ale już tak się przyjęło. — Jaki jest zakres działalności „Contalu”?

— Prowadzimy następujące działy: sprzedaż książek, gazet i czasopism polskich, sprzedaż polskich płyt, wyświetlanie polskich filmów, biuro podróży do Polski, sprzedaż wyrobów polskiej sztuki ludowej i polskich kosmetyków oraz przedstawicielstwo Banku Polska Kasa Opieki S.A. Sprzedajemy obecnie do 3 tysięcy egzemplarzy na miesiąc. Mamy już 400 stałych prenumeratorów. Stopniowo powiększaliśmy też zamówienia na książki i doszliśmy do 6000 tomów w roku ubiegłym. Dla orientacji: największa polska księgarnia w Chicago sprzedaje tylko 3000 polskich książek rocznie.

— Co czytają nasi rodacy? — Główną pozycję stanowią wciąż klasycy: Sienkiewicz, Prus, Zeromski, Dąbrowska, Nalkowska. Nowe dzieła z trudem torują sobie drogę. Tutaj prasa emigracyjna nie zamieszcza recenzji z książek, a poza tym też trzeba wziąć pod uwagę przekrój emigracji polskiej w Australii. Jednak i tutaj widać wyraźną poprawę. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiega znajomy, urzekający głos: Santorka!

— Płyty polskie „Idą” coraz lepiej — uprzedza moje pytanie pan Zarzecki. — Rozpoczęliśmy skromnie, ale już od czterech lat importujemy płyty wprost z Polski, z nagraniami muzyki lekkiej, ludowej oraz klasycznej. Rocznie rozprowadzamy 7-8 tysięcy płyt w całej Australii. „Contal” jest jedyną tego rodzaju placówką na antypodach i działalnością swą obejmuje cały kraj.

— Czy nasze filmy podobają się? — Bardzo. Są one entuzjastycznie przyjmowane nie tylko przez Polaków. Od 10 lat rozpoczęliśmy regularny import filmów z Polski. Na pierwszy ogień poszły „Ewa chce spać” i „Awantura o Basie”. Wielkim wydarzeniem dla naszych rodaków

było wyświetlenie „Krzyżaków”, pierwszego filmu na taśmie 35-milimetrowej. Z uwagi na walory artystyczne sprowadzamy filmy tylko na takiej taśmie. Wyświetliliśmy też inne: „Faraona”, którego dzięki dubbingowi obejrzało też wielu Australijczyków, „Pana Wołodyjowskiego”, „Marysię i Napoleona”, „Żonę dla Australijczyka”.

— Czy to również „Contal” sprowadził „Mazowsze”?

— Uczestniczyliśmy przy organizacji występów „Mazowsza” w Australii i balu na zakończenie ich tournée, a cały dochód przeznaczaliśmy na zasilenie Funduszu Olimpijskiego. Dołożyliśmy też starań, aby na pokazach filmów polskich w Melbourne, Sydney i Adelajdzie przemówili do

zebranych, po raz pierwszy w historii Polonii australijskiej, goście z Polski — pisarz Wojciech Żukrowski i reżyser Jerzy Passendorfer.

— Jak liczna jest Polonia australijska? — W Australii mieszka około 130 tysięcy Polaków, co stanowi zaledwie jeden procent ogółu ludności. Najwięcej rodaków żyje w Sydney i stanie Nowa Południowa Walia — około czterdzieści tysięcy oraz w Melbourne i w stanie Wiktorii — około trzydziestu pięciu tysięcy. Nie jesteśmy tak dobrze zorganizowani jak Polacy w Chicago i bardzo boleliśmy nad tym, że nasze dzieci często nie znają ojczystego języka. Dlatego wydaje mi się, że na tym większe poparcie i uznanie zasługuje propaganda polskości, jaką szeregimy w Australii.

Pan Stanisław wraca do początków założonej przez siebie placówki. Opowiada o tym, jak to „Contal” stał się miejscem spotkań rodaków. To tutaj załatwiano poszukiwania rodzin, tutaj dowiadrywano się adresów polskich lekarzy, adwokatów, krawców, rzeźników, piekarzy (chleb australijski jest niesmaczny, po pieczywo z polskich piekarni tworzą się tasiecowe kolejki), tutaj nasi rodacy zasięgali informacji o różnych instytucjach, tutaj przy kupowaniu kartek świątecznych, gazet i książek zawiązywały się pierwsze kontakty towarzyskie i przyjaźnie.

— Teraz przed świętami Wielkiej nocy mamy sporo pracy, bo wielu rodaków wybiera się w odwiedziny do Polski, do swych rodzin, a „Contal” załatwia wszelkie formalności. Tak samo jak przy powrotach Polaków na stałe do kraju.

Namawiam p. Zarzeckiego, żeby urządził w Australii wystawę malarstwa polskiego.

— Warto się nad tym zastanowić. Wiem, że w Warszawie, Krakowie i Łodzi istnieją duże centra artystyczne, a obrazy naszych mistrzów palety cenione są bardzo na całym świecie.

Pana Stanisława spotkałem jeszcze raz — na uroczystym przyjęciu, jakie na cześć drużyny „Legii” wydał nasz konsul generalny z Sydney.

— Wie pan — powiedział — chyba zdecyduję się na kilka wystaw. Może nawet zacząć od Łodzi. Proszę mi przysłać trochę katalogów...

Wieczorem odwiedził mnie Jerzy Pawłowski. Wszedł nieśmiało do pokoju, popisał o to i owo, chłonąc pilnie każdą nowinę o swym rodzinnym mieście, a gdy wychodził, z wyrażonym zakłopotaniem wręczył mi kopertę.

— To moje wiersze. Ja wiem, że to co piszę, jest nieporadne, ale nie jestem zawodowcem, a pisać muszę. Może pan to przeczyta w wolnej chwili i proszę pozdrowić łodzian, całą Łódź — uściśnij mnie i przykładając rękę do oczu czuło wymknął się na korytarz.

20 TYS. KILOMETRÓW NA POŁUDNIE



Fot. Archiwum

OBYCZAJE

JACEK czy AGATKA?

Dalszy ciąg ze str. 1

NAPRZECIW ZAINTERESOWANIU

Zainteresowanie społeczeństwa przysposabianiem dzieci osieroconych oraz tworzeniem tzw. rodzin zastępczych jest ogromne. Zainteresowaniu temu wychodzi również naprzeciw polityka socjalna naszego państwa. Uchwała Rady Ministrów nr 119, która weszła w życie z dniem 1 stycznia 1975 r. zapewnia osobom, które podejmą się wychowywania dzieci w tzw. rodzinach zastępczych stałą pomoc materialną w wysokości tysiąca złotych miesięcznie na każde dziecko. Na podstawie wieloletnich doświadczeń mogę z całą stanowczością stwierdzić, że gdyby w naszych łódzkich domach dziecka przebywały tylko małe, zdrowe i kwalifikujące się do przysposobienia Agatki, można by już dawno z całym spokojem pozamykać te placówki.

To prawda, że każda matka, każdy ojciec mają swój wymarzony, jedyny, niepowtarzalny wzorec dziecka. Ale prawda jest również, że ci mali i starsi wychowanekow domów dziecka, wszyscy bez wyjątku — pragną mieć własnych, kochających rodzi-

ców i sami bardzo pragną ich kochać: Jacek — też.

KOMU JACKA, KOMU AGATKĘ?

Już sam tytuł ma coś z handlowej reklamy. Nie o tej, rzecz zrozumiała, pisać tu będę. A jednak wiem doskonale, że podejmuję temat, który u jednych wywoła może zdziwienie, u innych — wręcz oburzenie. Trudno.

Dobrze by jednak się stało, gdyby jednych i drugich pobudził do refleksji, chwilę zadumy, a może i dyskusji. Rzecz będzie o dzieciach — sierotach społecznych — wychowankach państwowych domów dziecka, które z okazji różnych świąt, czy też ferii zimowych, letnich zabierane z placówek opiekuńczo-wychowawczych, są gośćmi w wielu naszych domach. Nie czas w tym miejscu na rozważania nad mentalnością naszego społeczeństwa. Jest jednak w naszym sposobie myślenia coś niepokojącego.

Ponieważ piszę o dzieciach, także i uwagi na powyższy temat dotyczyć będą tej sfery naszego postępowania. Gdyby kogokolwiek z nas zapytać, czy kochamy dzieci, odpowiedź byłaby jednoznaczna: oczywiście, że tak. Cóż za dziwne pytanie? Przecież jesteśmy przyjaciółmi dzieci, mało —

kochamy je, wszystkie dzieci są nasze itd., itp. A jednak. A jednak jakże często przechodzimy obok nieśczęścia dziecka obojętnie? Słyszymy w naszych blokach przez ścianę, że jest maltretowane, bite i poniewierane. Wiemy, że często głodne i obdarte spędza noce na klatkach schodowych i ulicach. A nasza reakcja? Czy warto się narażać sąsiadom? Przecież ostatecznie wychowanie ich dzieci jest ich sprawą.

NIE WSZYSTKIE SĄ NASZE

I nagle okazuje się, że jednak nie wszystkie dzieci są nasze. Czy naprawdę kochamy dzieci? Nie swoje, te obce? Same deklaracje nie wystarczą. To jedna strona medalu. Jest również i druga. Dwa, trzy razy do roku — od wielu lat — obserwujemy ciekawą zjawisko. Słowa zamieniają się w czyn.

Oto jeden z przykładów. Zbliżają się np. święta Bożego Narodzenia. W prasie i telewizji apeluje się do społeczeństwa: W domach dziecka przebywają sieroty, które potrzebują ciepła rodzinnego, miłej, serdecznej atmosfery. Przyjmijcie ich do siebie. Czekają na was. I rozzdwanają się telefony. płyną listy. Szukamy w kuratorium, w domach dziecka dzieci, które z tradycyjnie polską gościnnością pragniemy posadzić przy wigilijnym stole, często obok własnych dzieci. Zabieramy je również bardzo chętnie latem na wakacje, zimą na zimowiska, zabieramy na soboty i niedziele... Już to piękny odruch ludzkiego serca. Za to należy się wam głęboki ukłon i gorące podziękowanie. I w tym miejscu mamy także — wypisz, wymaluj — pełny portret Polaka, jego przystoiwość już dwie strony medalu.

Ale. Właśnie, jest jeszcze jedno w tej sprawie „ale”, które budzi we mnie najwięcej niepokoju. To problem, który, jak zaznaczyłem na wstępie, powinien budzić nas do pewnych refleksji. Powiem wprost. Jestem zdecydowanym przeciwnikiem zabierania dzieci z domów dziecka „od święta” i to wyłącznie ze względu na ich dobro. Ten, kto choć raz był w tego typu placówce, kto choć raz rozmawiał z tymi dziećmi jak przyjaciel z przyjacielem, długo zachowa ją w pamięci. Jest coś wzruszającego i wręcz niewiarogodnego, jak ci mali ludzie szybko przywiązują się do nas, dorosłych; jak bardzo pragną zostać z nami. Mógłbym z własnego doświadczenia opisać wiele takich spotkań. Nie uczynię tego, aby nie być posadzoną o próbę „wyciskania łez”. A jednak, proszę wierzyć, nawet tym najbardziej odpornym i zrównoważonym, po takich spotkaniach szła się oczy.

LEKARSTWO OD ŚWIĘTA

Mówimy, że dzieci cierpią na chorobę sierocą. To prawda. Prawda jest również i to, że nie wyleczymy jej „odświętnym lekarstwem”. Wprost przeciwnie, choroba będzie się rozwijać.

Każdemu dziecku potrzebna jest zawsze jedna prawdziwa matka i jeden prawdziwy ojciec. Co my natomiast — „rodzice od święta” — możemy tym dzieciom ofiarować? Jesteśmy dla nich czuli, może nawet przesadnie, gotowi spełnić każdą ich prośbę, mił, grzeczni, zawsze uśmiechnięci. Dajemy im wszystko — jak własnemu dziecku — oprócz jednego, dla nich najważniejszego: siłę na zawsze. I przecież nie ze złej woli, ale z braku znajomości potrzeb



Fot. A. WACH

psychicznych dziecka osieroconego wyrządzamy mu krzywdę. Ono widzi, że ta rodzina kochająca się i szanująca została mu pokazana; wie, że nigdy nie będzie jej częścią. Czyż świadomość tej strasznej prawdy nie pogłębia w nim tęsknoty za takim ogniskiem domowym?

Kochać dzieci — to wielka sztuka. Tu samo serce, nawet to najwrażliwsze, nie wystarczy. Czuć, to znaczy — rozumieć. Musimy zrozumieć, że każde dziecko, a dziecko osierocone w szczególności, odczuwa ogromną potrzebę stabilizacji. Pragnie mieć pewność, że ludzie, którzy się nim opiekowali, to nie niby-rodzice, ale prawdziwi i na zawsze.

A więc komu Jacka, komu Agatkę „na święta”? Nikomu.

TADEUSZ MICHAŁSKI

Kiedys Szmata dopadł na ulicy Warczaka i mówi:
 — Ty, nie masz orientu, kto by mógł węgiel załatwić jednym starym?
 — Co za jedni? — zapytał Warczak.
 — Salawskie z Grunwaldzkiej. Pogryzli się z córką i zięciem, zarzucili cu-
 mę w altance, a tu styczeń, ziąb i ani kawałka brykieta...
 — Pomyśl nad tym — powiedział Warczak. Szmata był dobrym znajomym, jakże więc nie pomóc jego sąsiadom?

1.

Bardzo chciało się myśleć Warczakowi. W 68 ożenił się, na swoje wielkie nieszczęście zresztą i nie znajdując zrozumienia u żony i teściów, którzy namawiali go do roboty, szwendał się po ulicach, żeby mu, bróń Boże, nie dali do bawienia syna, kiedy teraz ma siedem lat. Znudzony szwendaniem zrobił w 73 włamanie, za co siedział do września 74, zwolniony na mocy amnestii. Potem z kumplem, niejakim Gatera, który też wyszedł, chcieli się zatrudnić w zakładach mleczarskich, ale była blokada etatów. Z rozpaczy Warczak tak się rozpił, że zmuszony był zlikwidować rezerwy meblowo-odzieżowe w mieszkaniu. Na to żona, wrzeszcząc, że nie łoży na wspólne utrzymanie, wy-mówiła mu kwaterę raz na zawsze.

Odtąd Warczak nocował na strychach, później zaś, aby znaleźć się bliżej żony, wchodził przez wspaniałego na piwnicę bloku przy ul. Moniuszki i sypiał na skrzynkach. Twardo, zimno, a u góry żona w ciepłku.

Wnerwił się ta jawna niesprawiedliwość i poszedł na Grunwaldzką. Zaczepił starego Salawskiego w podwórku, było to 26 stycznia, godz. 16.00 i mówi:

— Pan pytał o węgiel?
 — A bo co?
 — Nic. Tyle, że moja kobieta, która pracuje w zakładach chemicznych, dostała dwie tony deputatowe. U nas jest centralne, to mógłbym odstąpić.
 — Po ile? — zainteresował się Salawski.

— Czterysta za tonę. Kuzyn jest kierowcą, to jeszcze dwieście i dwieście na załadunek.

Gospodarz wprowadził Warczaka do mieszkania.
 — Mam panu wierzyć na słowo? — spytał, wręczając Warczakowi dwieście złotych zaliczki.

Warczak oburzył się i zostawił dowód osobisty. Dzięki temu spożył obiad w „Pierozku” i napił się piwa.

Nazajutrz ponownie udał się do Salawskiego i powiedział, że węgiel będzie dopiero 28, ponieważ kuzyn przebywa służbowo w terenie. Salawski nie chciała dać dwieście pięćdziesiąt zaliczki, ale Warczak przypomniał, że zostawił dowód, który właściwie powinien odebrać. Było to niemożliwe, albowiem dowód wziął do pracy Salawski. Warczak wypisał pokwitowanie, podjął dwieście pięćdziesiąt, przepił je, a następnego dnia rano zwierzył się z kłopotów Gaterze, którego spotkał w „Pierozku”.

Gatera pociągnął go do Janusza i przy piwie zaczęli się zastanawiać, jak wydebić od starych dowód osobisty. Przymierzali się do akcji na różne sposoby, aż Gatera powiedział:

— Nie, tylko robimy legendę!
 — Co? Jaką legendę? — wystraszył się Warczak.
 — Nie rób wiatru, ty jesteś z boku. My robimy legendę. O zatrzymaniu samochodu z węglem...

2.

Salawski udał się do zakładu pracy, gdzie był zatrudniony jako dozorca, natomiast jego żona, kobieta schorowana, na rencie inwalidzkiej, czekała cierpliwie na upragniony węgiel.

O godzinie trzynastej pojawił się wysoki blondyn.

— Paniusiu, jest wielkie nieszczęście! — jęknął. — Ja żem ten kierowca, co wiozł z Warczakiem węgiel. Blacharz się napatoczył a my byli na cyku, i trzyma na ulicy. Jakby mu te dwieście wsunąć w łapę, to by może puścił...

Przerażona Salawska wyciągnęła z wahanem pieniądze.
 — Pani się nie boi! Napiszę pokwitowanie.

Napisał, wziął forszę i poszedł przepokupować milicjanta.

Po godzinie przed bramą stancji: wysoki blondyn z gładko przylizanym czarnym przystojniakiem. Przystojniak pokazał zza bramy legitymację w czerwonych okładkach, która była legitymacją związków zawodowych i powiedział:

— Jestem ten milicjant, co ich trzyma, a wóz z węglem stoi przed komendą.

Salawska nie otwierała bramy.
 — Pani nie wierzy? Mój stary też był milicjantem. Możemy wiele załatwić.

Gospodyni wpuściła obydwóch.
 — Sam komendant złapał sprawę — powiedział „milicjant”.

— Warczaka zwinęli i trzymają — dodał kierowca.

— Ale co chłopaki mają mieć nieprzyjemności? — ciągnął „milicjant”. — Jeśli będzie trzeba, to ja załatwię i zwolnię.

— Nie wierzę! — powiedziała Salawska wycofując się raptem z interesu.
 — Proszę pani! — krzyknął „milicjant”. — Ja naprawdę załatwię z komendantem! Warczakowi należy się jeszcze tysiąc, nie? Pani da tę nalepkę, wsunie się w łapę i komendant puści protokół do kosza.

Salawska kręciła przecząco głową.
 — Ma pani dowód Warczaka — powiedział kierowca.

— Dowód trzeba oddać — oznajmił „milicjant”. — Nie wolno przetrzymać cudzego dowodu.

— Mąż zabrał do pracy — powiedziała Salawska.

— Trudno! Jak ta pani da forszę — wrócił się „milicjant” do kierowcy —

i puścimy cię z Komendy, to damy do konwoju kaprala Wosika. On was doprowadzi z węglem na miejsce bez przeszkód.

Przekonana taką mową Salawska wręczyła „milicjantowi” dwa banknoty pięćsetzłotowe nowej emisji. Ostatnie pieniądze, jakie starzy mieli odłożone na życie.

— Szlaban mu w nery! — powiedział Gatera. — Bez forsy i tak on milość nie zagna.

Szła tak sobie ciemnymi uliczkami śpiewając głównie pieśni partyzanckie. Wtem Gatera ujrzałszy cosik, krzyknął:

— Jezus Maria, Warczuś, dorozka!
 Był to luzem zaparkowany balonowy wóz z koniom o nieokreślonej maści, bo ciemno.

Wsiadli i przerzuciwszy batem biegi, pojechali nie zwracając niczyjej uwagi, ponieważ widok pijanego wozaka wszystkim się opatrzył.

— Ty, gdzie ten koń idzie? — spytał w pewnej chwili Gatera.

— On idzie do jednego mojego kumpla z lat dziecińczych — odparł Warczak.

Teściowa oświadczyła, iż zięć nie przebywa u niej od trzech tygodni, a o węglu pierwsze słyszy. Wohec powyższego Salawski zapadł w Komen-dzie, że padł ofiarą wyłudzenia tysiąca sześciuset pięćdziesięciu złotych.

Natomiast nieźle spała żona Warczaka. Jednakże czujnie obserwowała mężowskie noclegi, obawiając się, iż małżonek zechce kiedyś obrócić komórki sąsiadów. Rankiem wraz z bratem zeszła do piwnicy. Warczak udawał, że śpi na skrzynkach, ale zaraz przeszło mu to udawanie i zaczął się domagać zwrotu wszystkich przedmiotów ze wspólnego majątku. Jeszcze pijanego wyprowadzili na zewnątrz. W pobliżu bloku stało dwóch nieznanymi kumpi. Natomiast obok wyspu na węgiel leżała nieznaną odzież. Brat pilnował otworu, żeby „iki nie wszedł, a teściowa osobiście powiadomiła milicję, iż zięć rzytuje do spółki z kumplem kojko w piwnicy, i w ogóle bardzo jest podejrzany.

Przybyły funkcjonariusz Warczaka nie zastał. Obok wyspu znajdował się kożuch zakopiański, damski płaszcz zamzowy i uszkodzony tranzytor marki „Ania”.

Tego dnia na Topolową ściągnęła ohywatka A. I ujrzałszy wybitą szybę w piwnicy, zawróciła po męża. Obywatel A., szofer usługowy na bagażówce, stwierdził, iż z jego domu jednorodzinnego ogrodzonego zgrabnie, ale bez bramy, zginęły: damski i męski kożuch zakopiański, czarny garnitur, damski płaszcz zamzowy, radio „Ania” i zegarek marki „Pallas”, wszystko o łącznej wartości 27 tys. złotych. Z zegarka się wycofał, ponieważ znalazł go w potłuczonym szkle pod oknem, gdyż tam go tragarze zgubili.

4.

Czy teściowa powiadomiła milicję tylko ze względu na dziwne noclegi zięcia? Nie. Warczak bowiem, zdybawszy kuzynkę, oznajmił konspiracyjnie:

— Zobaczymy, kto do kogo przyjdzie teraz.

— A ty, co znowu? — nadstawiła ucha kuzynka.

— W lesie karolewskim, przy wodzie zakopałem siedemnaście tysięcy...

Informacja tą pragnął nieszczęsny zainteresować żonę i skłonić ją do pojednania...

A jaka była noc Warczaka i innych?

Kiedy Gatera strzelił kapciem w okno piwniczne i poszła szyba, noga wpadła mu do środka i Gatera musiał cały wejść za tą nogą, a za całym Gatera wszedł Warczak i zapalił światło. Patrzył, a tu wyjście jest takie do góry. Wyszli. Patrzył, a tu znowu wszystkie zamki do mieszkania na luzie! Wszedł. Co było, to wzięli, sukni kilka butelek dla głupiego zatarcia śladów, ale że przez piwnicę trudno się wycołać na cyku, otworzyli okno z korytarza i hyc na podwórce, a z podwórza w miasto!

Warczak rzucił lachy z radiem do wyspu i stoczywszy się za nimi zapadł w nieprzytomny sen. Gatera, ubrany w kożuch, dorwał Janusza i wjechał do „Stylowej”. Kożuch zawisł na kolku w szatni, natomiast Gatera z Januszem zawisli na szyjach panny Geni, kobiety po pięćdziesiątce i po dwóch setkach, i panny Grażynki, lat dwadzieścia dziewięć. Genia powiedziała, że kożuch by nabyła, ale w ramach usług, bo nie ma pieniędzy. Janusz poszedł w sałę łapać klienta. No i zaraz przyprowadził sławnego piłkarza, który kopie w klasie wojewódzkiej. Piłkarz obmacawszy kożuch stwierdził, że za dwa tysiące weźmie i zaraz na miejscu sporządzone umowę, podpisaną chętnie przez Gaterę.

Następnie do domu piłkarza ruszyła cała karawana. Do mieszkania wyszedł piłkarz sławny, jego kuzyn i Gatera, postawiając w obwodzie Janusza z dziewczynkami. Po kilku minutach Gatera wyszedł w piłkarza zielonej kurcie wartości pięćset złotych, a w kieszeni niósł tysiąc, resztę bowiem miał otrzymać nazajutrz.

Sześciu parę par ruszyły taksówką do „Simu”, ale że wszystkie stoliki były zablokowane, trzeba było wracać w rodzinne strony. Genia w ułajonym monopole kupiła litra i wprowadziła towarzystwo do mieszkania jednej Krysi. Grażynka powiedziała później, że panowie się z nimi nie zabawiali, ale pijani Gatera i Janusz, nadziawszy się rano na sploszonego Warczaka, krzyknęli, że balowali jak cholera!

Warczak ubrany był dubeltoowo, to znaczy na stare szmaty miał wciągnięty czarny garnitur, który chciał wyrzucić kelnerom. Gdy kelnerzy poodrzucali ofertę, Warczak udał się do znajomych, Głuszkowskich, i rozdził się z garniturem. Na to weszła sąsiadka po kropkę, bo ją rozboleła sere. Nie chciała kupować garnituru, ponieważ jej chłop był do niego za niski, ale ostatecznie za pięć stów wzięła, jako że Warczak rozczulił ją bardzo mówiąc, że właśnie miał rozwód i gorąco pragnie przepić swój ślubny garnitur. Kobiety przyniosły na to konto litra za Warczaka pieniądze na tym film się urywa...

A ja opisałem to wszystko. Nie ku pokrepleniu sere, ani dla ubawu. Napisałem, ponieważ niepokoją mnie pewne fakty. Nie idzie wcale o stworzenie parkingów strzeżonych dla niezmotywowanego chłopstwa, ani o to, że różne szechy z różnych szczebli będą grozić i wybielać sławnego kopacza z klasy wojewódzkiej, któremu należałoby mocno dosłodzić z łodzijską transakcją. Znana jest też beztroška właściciel, który zostawiają otwarte drzwi i domki ogrodzone, ale bez bramy, jak również naiwność ludzka i sąsiadka znieczulica; ale kiedy ktoś okrada kolegę, wyłudza ostatni grosz od starych, chorych ludzi i gdy lumpy ze strychów i piwnic znieślawiają w oczach społeczeństwa dobre imię milicji, to jest to już świętostwo najcięższego kalibru. I to właśnie niekopół.

RYSZARD BINKOWSKI

CI,
CO SPIA
W PIWNICY

Na ulicy czekał Warczak. Janusz — „milicjant” i Gatera — kierowca dołączyli do niego z ponurymi gębami.
 — Kłops z dowodem — powiedział Janusz.
 — A forsa?
 — Dala tylko pięćset — wyjaśnił Gatera, który postanowił dysponować pieniędzmi.
 — Trzeba je rozsiać — powiedział Janusz — żeby wcześniej nie było jakiej konfiskaty.



Fot. Włodzimierz Parys

No i zaraz pojechali taksówką w powiat łódzki, czyli do restauracji „Chlopka”, gdzie wypili na początek trzy ciwariki. Zasnali jak trzeba, wskoczyli w następna, okazując taksówkę i dowiedzieli się do „Kolumnianki” w Kolumnie. Przewrócili kilka ciwariek i wrzucili trzy obiady, pałac Gatera, jak opanisko dysponując walutą.

Wesoło się zrobiło, gorąco, aż po drodze zgubił się Janusz.

— On wie, gdzie to jest?
 — Jest to na Topolowej.
 — A po co on tam idzie?
 — Idzie on tam na okoliczność, że ten kumpel pożyczyl mi niedawno dwie dychy.

— I ty będziesz oddawał?
 — Nie! Ja będę teraz pożyczyc dwie stowy. Jak pożyczyc, to zjedziemy z fasonem pod „Stylową”, zrobimy repete na gardło i dopiero wtedy pojedziemy po mieście!

Wjechał w podwórce i zaczęli się dobijać do drzwi i okien.

— Pijanego albo też niezwykłego masz kumpla — zlorzeczył Gatera.

— Albo go wcale nie ma...

Na to Gatera kopnął ze złością w piwniczne okienko i szyba wyleciała...

3.

Tej nocy pewna kobieta z laskiej wsi długo odmawiała litanie za zaginionych, a kiedy to nie pomogło, przestała się na rzucanie kłatw pod adresem kurew z miasta, które otumaniają zaoftany chłopów, po czym jąla organizować rozwód z natychmiastowym podziałem majątku, aby w końcu przejść na nutę żalosa, bo jej się przypomniało, że wypadki chodzą po ludziach gęsto.

Tej samej nocy w bliźszej miastu wsi drzemalo spokojnie małżeństwo A., którzy od 26 stycznia spędzali u teściów coś w rodzaju urlopu. Nie mogła natomiast spać ich sąsiadka, albowiem intrzygował ją wielec stojący w podwórku koń z wozem. Rano 29 stycznia koń stał nadal. Wówczas sąsiadka zrobiła mityng sąsiadów. Sąsiad o nazwisku Keller wszedł do środka, a gdy wyszedł, powiedział, że tam jest bajzel i mogło być grasowanie.

Wszystcy głęboko westchnęli i nie więcej nie zrobili, bo nie wiedzieli, gdzie przebywa małżeństwo A.

Bardzo źle spało się Salawskim. Stary poszedł nazajutrz pod wypisaną w dowodzie adres, ale okazało się, że Warczak tam nie mieszka, tylko u te-

PROSTY
CZŁOWIEK

Spotkałem na ulicy człowieka w szarym kapeluszu. Skłonił się układnie i przemówił do mnie pierwszy: „Słyszałem, że jest pan autorem — to miło, jak mówi poeta — wielką jest rozkosz nawet poślednim być literatem — otóż ja do mistrza mam sprawę”. „Słucham chętnie, ale chciałbym wiedzieć, kim pan jest?” „Otóż już zaczyna się coś złego, ja jestem prostym człowiekiem, szarym człowiekiem i proszę, błagam, żeby pan nigdy o mnie nie pisał ani w felietonie”. „Moje felietony są abstrakcyjne i niezrozumiałe”. „Znakomicie, ani w powieści”. „Moje powieści to traktaty filozoficzne o podejrzanej wartości metodycznej”. „Świetnie, ani w opowiadaniu”. „Moje opowiadania, coż jestem jeszcze gorszym opowiadaczem niż felietonista, moje opowiadania to pod pozorem eksperymentów ukryte przejawy czystego formalizmu”. „Jest pan kochany, pragnę jednak uspokoić się zupełnie, podobno knuje pan coś ze słuchowiskami radiowymi”. „Niech pan będzie spokojny, Komitet do Spraw Radia i Telewizji przejrzał mnie już dawno, zdemaskował i unieczwilił”. „A wiersze — tu podobno jest pan niepoprawny, ciągle składa pan rymy, któż mi zareczy, że pewnego dnia nie odczytam wiersza o sobie”. „Zaręczam panu, moi Przyjaciele w Redakcjach, moi Wydawcy, którzy ostatnio nie mają nawet czasu rozmawiać ze mną, a coż dopiero mnie wydawać, nie, proszę być zupełnie spokojnym — wyrwano mi żądło!” „To wszystko jest tak piękne, więc mogę spokojnie pracować, żyć życiem rodzinnym, wypoczywać rozkosznie, umierać przykładnie i pan naprawdę nigdy nie o mnie...”. „Tak, ja naprawdę nigdy nie o panu”. „Proszę pana, proszę mi jeszcze powiedzieć, czy gdyby pojawiła się materialna możliwość, lub wiele materialnych możliwości, czy pan wtedy, czy pan wtedy mnie skoczy, czy pan posunie się do tego, żeby o mnie napisać”. „Nie, serce moje pełne jest miłosierdzia, pan zasłużył na milczenie”. „Proszę pana, mnie trudno o należyte słowa, ja... ja... widzi pan, trwam, bo jestem prosty, otóż gdyby opis wykazał, że jestem złożony, rozpadłbym się na części — rozumie pan, że moja prostota, to moje życie, ba, to zapewne moja nieśmiertelność, a ja chcę także nieśmiertelności dla mojej żony, dla teściowej i dla dzieci, więc jeżeli pan o nas nigdy i nigdzie nie napisze...”. „Ja nigdy i nigdzie o was nie”. Zedją kapelusze i zapłakali obficie. Zrozumiałem, że będzie pocieszony, pocieszony i zbawiony, i Jego będzie Królestwo Niebieskie. I przystąpił do mnie Sztajnert, któremu służy długo i wlewnie i wziął mnie pod ramię. „Nie wiem, mój drogi, powiedział, czy ty zbytnio się nie pospieszyłeś”. Powiedziałem do Księcia Ciemności: „Bądź spokojny, Sire, uczyniliśmy ludzi bujnych, bogatych, najzwyklej jeszcze wiele zł”. I odeszliśmy naszymi drogami, o których wy nie wiecie.

BERNARD SZTAJNERT

LISTY

DANKEN

Jestem studentem ekonomii. Bardzo interesują mnie wszelkie informacje dotyczące pobytu na Ziemi przedstawicieli innych cywilizacji. Stąd też ucieszyło mnie faktu drukowania w „Odgłosach” fragmentów książki E. von Dänikena „Bogowie z kosmosu”. Chciałbym, jeśli można, dowiedzieć się, czy książka ta ukazuje się w języku polskim. Ponadto „Odgłosy” drukowały pod wspólnym tytułem „Dziwny, nieznan świat” ciekawe fragmenty innej książki. Czy są to fragmenty książki, która ukazuje się w języku polskim?

WŁODZIMIERZ MICHAŁOWSKI
(Łódź)

OD REDAKCJI:

Publikowanie na naszych łamach opracowania fragmentów książki Ericha von Dänikena pochodzą z angielskiego wydania, które nosi tytuł: „Gods from Outer Space”.

Pod wspólnym tytułem „Dziwny, nieznan świat” opublikowaliśmy fragmenty sześciu rozdziałów książki Francka Edwardsa „Strange World”.

Nie posiadamy żadnych wiadomości o przygotowaniu którejkolwiek z tych książek do wydania w Polsce.

Do PRASZKI należałoby wozić wycieczki szkolne, studentów i działaczy gospodarczych.

Jeśli dla kogoś, znającego najnowszą historię Polski, powyższe stwierdzenie skojarzy się z tytułem: „Pogranicze”, to z miejsca wyjaśniam, że jest to skojarzenie błędne. Praszka istotnie leżała na pograniczu. Kiedyś była tu miejscowość Michałów, obok której w 1392 roku powstała miejscowość Praszka nazwana i ta miejscowość — otrzymała prawa miejskie — wchłonęła pierwotny Michałów. Rozwój Praszki był wynikiem jej położenia: na pograniczu dzielnic ówczesnej Polski. Tu przebiegała droga łącząca Śląsk ze środkową i północną Polską. Dzięki temu położeniu Praszka przez długie wieki nie straciła swego miejskiego charakteru. Prawa miejskie utraciła dopiero w 1870 roku, aby je odzyskać ponownie w 1919.

W 1939 roku w Praszce mieszkało przeszło 5 300 osób. Wtedy to też było pogranicze, ale jakże już inne. Za Prosną byli Niemcy hitlerowscy. Przez Prosnę chodziło się „na saksy”, przez Prosnę szedł szmugiel, przez Prosnę przyszła wojna. W Praszce zginęli pierwsi polscy żołnierze. Tu zaczęła się druga wojna światowa. Na froncie Urzędu Gminnego kamienna tablica z długą listą nazwisk mieszkańców Praszki, którzy zginęli w tej wojnie. Na cmentarzu kwatery poległych żołnierzy, którzy próbowali zatrzymać hitlerowską nawałę.

Czasy tamtego pogranicza mamy już za sobą. Dziś Praszka leży w centrum Polski, na południowo-zachodnim krańcu województwa łódzkiego. Z Praszki jest 26 km do Wielunia, 15 km do Kluczborka, 23 km do Olesna i około 60 km do Częstochowy.

Dłaczego mimo wszystko Praszka jest pograniczem? I pograniczem czego?

W Praszce — tej małej miejscowości, leżącej nad Prosną — z niezwykłą ostrością przebiega granica między dwoma epokami, między kształtowaną współczesnością przyszłością a przeszłością z całym jej bagażem obyczajów, nawyków i zahamowań. Przebiega tu granica między nowoczesnością myślenia i działaniem a stereotypami z bardzo odległych czasów. I w tym, tylko w tym sensie PRASZKA. ZNÓW JEST POGRANICZEM.

KRÓTKI KURS INTEGRACJI

Uczniów i studentów należałoby wozić do Praszki dla obrazowego ujęcia ich o integracji gospodarczej tworzonej w ramach RWPG. ZSM „POLMO” w Praszce — dzięki pierwszemu etapowi rozbudowy — a praktycznie wybudowaną nową fabrykę, z dala od niewielkiej fabryczki produkującej części wyposażenia samochodowego — stały się krajowym producentem układów hamulcowych. Dla laika może to się wydawać „drobnostką”, dla specjalisty układ hamulcowy jest niezwykle istotną częścią samochodu, zapewniającą sprawność poruszania się maszyny po drogach. ZSM „POLMO” w Praszce produkuje nowoczesne układy hamulcowe.

W tej chwili fabryka daje rocznie 12 tys. takich układów, w niedalekiej przyszłości, za niecałe trzy lata, będzie dawało ich 100 tys. Skok ilościowy ogromny. Pozwoli to fabryce w Praszce wprowadzić do fabryki najnowocześniejsze maszyny i najnowocześniejszą technologię. Dzięki temu Polska stanie się specjalistycznym producentem układów hamulcowych. W Praszce będzie można wytwarzać wielkie serie układów hamulcowych, którymi będą interesowali się producenci samochodów z różnych stron świata.

ZSM „POLMO” w nowym kształcie wybudowano z funduszy RWPG. Drugi etap rozbudowy ZSM „POLMO” w Praszce również finansowany jest przez RWPG. Fabryka ta znajduje się w wielkim systemie międzynarodowego podziału pracy. Jej wyrobami już zainteresowali się producenci samochodów w Związku Radzieckim.

Rzeka Kama jest najdłuższym dopływem Wolgi. Nad Kamą w RFSRR powstaje ogromny kombinat budowy samochodów ciężarowych, które swą nazwę otrzymały od Kamy i nazywają się: „KAMAZ”. Jest to rodzina samochodów ciężarowych, najnowocześniejszych i największych i właśnie dla tej rodziny ciężarowych „KAMAZÓW” fabryka w Praszce będzie dostarczała układy hamulcowe. Będzie jednym z dostawców części dla „KAMAZÓW”, ale jedynym dostawcą układów hamulcowych, oryginalnych, sprawnie funkcjonujących, które muszą być niezawodne i przy lekkim dotknięciu zatrzymać ciężarowe kołowy ZSM „POLMO” w Praszce przyjęła na siebie zobowiązanie, otrzymała kredyty z Międzynarodowego Banku Inwestycyjnego i musi się z tego wywiązać.

— Uważam się za człowieka z wyobraźnią — mówi dyrektor naczelny

ZSM „POLMO” w Praszce, Kordian Zawadzki — ale nie potrafił sobie wyobrazić skutków takiej sytuacji, kiedy byśmy mogli nie dostarczyć na czas partii układów hamulcowych dla „KAMAZA”. Jest to rzecz absolutnie niemożliwa, gdyż spowodowałibyśmy zaburzenia w pracy gigantycznego kombinatu, dla którego jesteśmy jedynym dostawcą układów hamulcowych.

FABRYKA W GMINIE

Studentów należałoby wozić do Praszki, aby mogli na żywym organizmie obserwować procesy industrializacji, aby obserwowali związki nowoczesnej techniki z anachronicznym

środowiskiem. Cena tej nauki byłaby wprawdzie bardzo wysoka, gdyż wysoka jest cena uprzemysłowienia tradycyjnie rolniczego mikroregionu, ale korzyści niewątpliwe.

Praszka jest miastem zintegrowanym z rolniczą gminą. W Praszce jest Urząd Miasta i Gminy. Miasto Praszka ma stać się centrum usługowo-administracyjnym dla rejonu rolniczego. To jeden kierunek rozwoju Praszki. Drugi — to stworzenie społecznego środowiska dla przemysłu. Środowiska, bez którego przemysł nie może w pełni egzystować.

W rozmowach o Praszce często powraca pytanie: czy celowe było budować tu fabrykę? Jest to pytanie wielce szkodliwe, gdyż problemy tożsamościowości odsuwa w przeszłość. Te pytanie nie pomaga w rozwiązywaniu spraw, które decydują o przyszłości miasta i fabryki. Ono usprawiedliwia bezradność wobec konfliktów, jakie zrodziła współczesność.

Po wojnie powstał w Praszce mały zakład, produkujący elementy wyposażenia do samochodów. Kiedy szukano miejsca pod budowę fabryki układów hamulcowych, wybór padł na Praszce. W tej okolicy byli ludzie, którzy jeździli do pracy na Śląsk. Uznano wówczas, że w promieniu wyznaczonym 30-minutowym dojazdem do Praszki można będzie znaleźć ludzi, którzy zamierzają na Śląsk będą jeździli do ZSM „POLMO”. I w wielu przypadkach tak się stało. Ale ludzie nadal jeżdżą na Śląsk. Jeżdżą tam do pracy, gdzie oferują się im zarobki wyższe niż w ZSM „POLMO”. Stusne założenie nie do końca spełniło się w praktyce. Popelniono błąd?

Uprzemysłowienie kraju jest koniecznością i nadal będą powstawały fabryki w miejscach, gdzie ich nie było. Stawiamy sobie ambitne zadanie unowocześnienia Polski i musimy liczyć się, że nie tylko w Praszce będzie dochodziło do konfrontacji nowoczesności z przeszłością, do konfrontacji nowoczesnego, dynamicznego sposobu myślenia ze schematami, jakie zrodziły się w przeszłości, a jakie funkcjonują i dziś.

Przyznaję, że kiedy jechałem do Praszki nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co tam zastane. Nie byłem w tym mieście kilka latnych lat i pamiętałem tylko starą fabrykę, która borykała się z licznymi kłopotami. Zastane nowoczesną fabrykę znakomicie wyposażoną. Zastane fabrykę, której doskonale opinie wystawili wybitni specjaliści od motoryzacji z różnych krajów. I przyznaję, że skojarzenie tej nowoczesności z anachronizmem społecznego środowiska szkodzi. Są to dwa zupełnie różne światy, które istnieją obok siebie, a które powinny być ze sobą ściśle powiązane.

Zadaniem w Praszce tradycyjne pytanie: czy tu można robić z wolnym czasem? I usłyszałem w odpowiedzi, że można iść do nowego i bardzo ładnego, ale małego kina, pooglądać telewizję, latem wybrać się na grzyby, na ryby. I to właściwie wszystko.

Zapytałem wówczas, jaka jest możliwość dorobienia się w ZSM „POLMO” samochodzie. A zapytałem dlatego, gdyż posiadanie samochodu ułatwiałoby pracownikom fabryki kontakt z większymi ośrodkami: Wieluniem, Kluczborkiem, Olesnem i dużymi miastami: Częstochową, Opolem,

Wrocławiem czy Łodzią. Oczywiście istnieją takie możliwości, pod warunkiem, że w rodzinie pracuje dwoje osób — a w ZSM „POLMO” pracuje razem wiele młodych małżeństw — ale jest to sprawa przyszłości. Na samochód trzeba odłożyć i trzeba poczekać. Obecnie tylko około 50 pracowników fabryki posiada samochody.

A zatem sprawa jest prosta: poprawę warunków życia pracowników fabryki może dokonać tylko sama Praszka.

Praszka wiele już skorzystała w procesie budowy fabryki. ZSM „POLMO” budując osiedle fabryczne wybudowały kanalizację i wodociąg oraz oczyszczalnię ścieków, z których korzysta i dalej korzystać będzie w większym zakresie miasto. Wybudowano drogi dojazdowe do Praszki. Kiedyś w Praszce była szkoła mechanizacji rolnictwa, teraz jest szko-

ła przykładowa, która kształci specjalistów dla fabryki.

— Całkowicie zdajemy sobie sprawę — twierdzi naczelnik miasta i gminy, Kazimierz Belka — że w najbliższym czasie dokona się radykalna zmiana struktury społecznej w gminie. Za trzy lata w ZSM „POLMO” będzie pracowało przeszło 5 tysięcy osób. Przygotowujemy się do tego, że gmina będzie traciła swój rolniczy charakter, gdyż liczymy się z tym, iż około połowa uprawnej ziemi przejdzie w ręce państwa i przekażemy ją kółkom rolniczym. Młodzi, zdobywając zawód w ZSM „POLMO”, odchodzą od rolnictwa, a starzy przekazują państwu ziemię w zamian za rentę.

— I dlatego — dodaje I sekretarz KG PZPR, Ryszard Rekowski — dajmy do tego, aby Praszka stała się miastem nowoczesnym, ośrodkiem usługowym, jeśli tak to można określić, i dla rolnictwa i dla przemysłu. Ale to nie jest łatwe. Program mamy, moim zdaniem przynajmniej, interesujący i bogaty, gdyby tylko był w terminie realizowany.

Ryszard Rekowski otwiera dłoń i zaginając palce wylicza: restauracja miała być gotowa dwa lata temu, basen kryty — też dwa lata, trzy bloki dla ZSM „POLMO” — w ubiegłym roku.

— A sklepy? — jest to pytanie, które zadał naczelnik Kazimierz Belka, aby ułatwić sobie sklerowanie rozmowy na inny temat. — W ostatnich latach ludność Praszki prawie się podwoiła, ale sklepów nie przybyło. Zakładamy, że za kilka lat z 5 tys. liczba mieszkańców skoczy do 10, a w perspektywie Praszka będzie 15-tysięcznym miastem. Jednakże przez najbliższych kilka lat nie będzie się budowało sklepów. I to znów obniży atrakcyjność miasta. Nie możemy do tego dopuścić, bo to ujemnie wpływa na prawidłowe funkcjonowanie ZSM „POLMO”.

Do Praszki należałoby wozić działaczy gospodarczych i tych, którzy planują nowe inwestycje, i tych, których obowiązkiem jest ich realizacja. Znają oni niewątpliwie pojęcie kompleksowego realizowania inwestycji, pojęcie koncentracji prac budowlanych. W Praszce też znają te pojęcia, ale jako postulaty ciągle nie spełniane i przez to ciągle aktualne, gdyż Praszka znajduje się na pograniczu teorii i praktyki. Warto byłoby poznać cenę tego faktu.

— Posiadamy jeden z najlepiej opracowanych programów rozwoju infrastruktury społecznej — twierdzi dyrektor do spraw inwestycji ZSM „POLMO” w Praszce, Zbigniew Siatkowski. Taka jest powszechna ocena tego programu, ale jego realizacja przebiega w sposób absolutnie nieprawidłowy. Powinniśmy na przykład posiadać już Dom Technika, ale zupełnie nie wiadomo ile jeszcze czasu potrwa jego budowa.

— Skale problemu — dodaje dyrektor Kordian Zawadzki — niech zilustrują następujące proporcje. Jeśli na całą inwestycję, to znaczy na drugi etap rozbudowy fabryki, otrzymaliśmy 2 miliardy złotych, to na prace budowlano-montażowe około 600

tysięcy złotych, w tym na infrastrukturę — 280 tys. złotych.

Czym dla ZSM „POLMO” w Praszce jest społeczna infrastruktura dowodzą inne zestawienia. W fabryce powinno być 150 osób z wyższym wykształceniem, a jest połowa tego. Powinno być 1200 pracowników z wykształceniem zawodowym, a jest 900. Brakuje przeszło 200 robotników i aby utrzymać właściwe tempo produkcji, zdecydowano się na niezwykle drastyczny krok — jedną czwartą stanu pracowników umysłowych skierowano do produkcji. Niektórzy przyjęli to ze zrozumieniem, inni — złożyli wypowiedzenia. Naczelnik Kazimierz Belka twierdzi, że rozmiary fluktuacji załogi w ZSM „POLMO” można też poznać w... biurze meldunkowym gminy.

— Gdybyśmy dostali na czas trzy bloki, jakie w żółtim tempie stawiają budowlani z Wielunia — twier-

dzi zastępca dyrektora, Zbigniew Siatkowski — to nie mielibyśmy takiego problemu z ludźmi, mielibyśmy dać mieszkanie młodym, którzy chętnie tutaj osiedlili się.

Pytanie: czy decyzja ulokowania fabryki układów hamulcowych w Praszce nie była błędna? — uznałem za wielce fałszywe i szkodliwe. Chciałbym jednak ten sąd uzasadnić. I jeśli już uległbym tendencji szukania błędów, to wskazałbym go zupełnie gdzie indziej.

Na XVII Plenum KC PZPR zapadła decyzja o przebudowie struktury władzy terenowej w Polsce. Sens tej przebudowy widzę w zerwaniu z dotychczasowym, partycularnym myśleniem na rzecz myślenia ogólnogospodarczego i ogólnospołecznego. Reforma systemu władzy nie może jednak przeskoczyć w realizacji zamierzeń społeczno-gospodarczych. Ma je ułatwić i usprawnić. Poznając skomplikowane problemy Praszki można byłoby jednak łatwo dojść do wniosku, że już powstają pewne zakłócenia. Jest to wniosek mylący.

W Praszce wybudowano bardzo ładny ośrodek zdrowia. Powinno w

nim pracować 10 lekarzy, pracuje 5. Powinni tu dojeżdżać specjaliści z Wielunia, ale nie dojeżdżają. Jest w Praszce mikrobiolog bez pracy, który mógłby w ośrodku zdrowia poprowadzić pracownię analiz, ale nie prowadzi, gdyż Wieluń nie jest zainteresowany w lokowaniu etatu w Praszce, bo... nie wiadomo, czy Praszka pozostanie w nowym województwie siedleckim. Po co więc tracić etat, skoro można go zachować dla siebie na później? Takie rozumowanie jest logiczne, jeśli podchodzi się do niego w sposób partycularny, nie biorąc pod uwagę całości problemu. Nauczono się u nas myśleć w skali powiatu, województwa, z niekorzyścią dla skali kraju. Gdyby podejść do tego w sposób ogólniejszy, to dla całości gospodarki narodowej, w której pożądaną rolę ma do spełnienia ZSM „POLMO” w Praszce, uzupełnienie składu personelu ośrodka zdrowia odgrywa większą rolę niż zachowanie etatu dla ewentualnego wykorzystania go po dokonaniu nowego podziału administracyjnego.

W podobny sposób myślą — niestety — budowlani. Po co lokować swoje siły w budownictwie dla Praszki, skoro korzyści z tego będzie zbierał ktoś inny? Ale to jest zgodne tylko z logiką partycularnego myślenia. A tej logiki nie można ani uznać, ani przyjąć. Praszka ma bowiem przynosić korzyści całemu krajowi a nie któremuś tam z nowych województw.

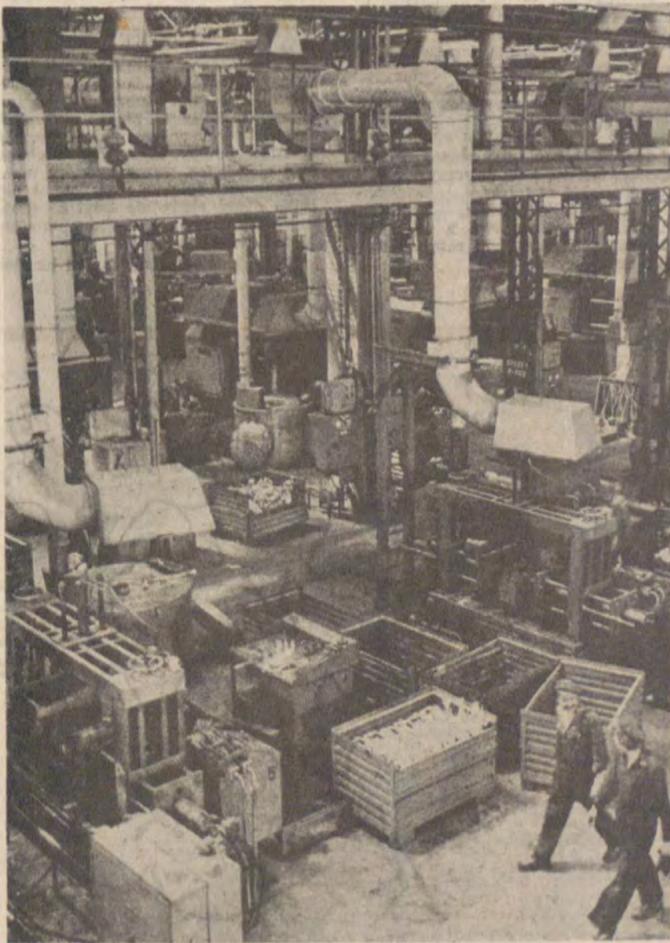
I jeśli już na uparte go szukać błędów, to właśnie tkwi on w partycularnym myśleniu, które każe dostrzegać lokalne korzyści, a uniemożliwia widzenie spraw w szerszej, krajowej skali. Ale tego błędu nikt jakoś nie chce dostrzec. Wytworzyła się więc paradoksalna sytuacja: ZSM „POLMO” w Praszce otrzymały niezbędne priorytety decyzjami rządu i poszczególnych ministrów, ale nie są one honorowane w podziale pracy na szczeblu... powiatu. — Ten paradoks pachnie skandalem.

Praszka ma szansę stać się nowoczesnym ośrodkiem, zapewniającym bogaty zestaw usług zarówno dla ludzi pracujących w przemyśle jak i w rolnictwie. Praszka ma takie ambicje i plany. Wiele pragnie się tutaj zrobić własnymi siłami, nie oglądając się na tych, którzy zostali do tego powołani. Ale Praszka ma ograniczone możliwości. Aby stała się nowoczesnym centrum mikroregionu, musi wyjść z pogranicza i znaleźć się w kręgu ogólnonarodowych zainteresowań. Przykład tego małego miasteczka nad Prosną pokazuje bowiem, że wielkie sprawy naszej gospodarki rozgrywają się nie tylko w dużych ośrodkach przemysłowych. I tę prawdę trzeba zrozumieć.

Powtarzam. Do Praszki należałoby wozić wycieczki szkolne, studentów i działaczy gospodarczych, aby poznawali tam współczesne problemy uprzemysłowienia i uczyli się rozwiązywać je w nowoczesny sposób.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

POGRANICZE



Fot. Włodzimierz Paryś

Gasła moją niecierpliwość słowami: „Nie spiesz się. Odczekaj”. Nie rozumiała, że mnie nie chodzi o sprawdzenie, czy nasz dom stoi jeszcze, czy nasze mieszkanie ocalało. Mieliliśmy tu przecież w Konstancji drugi dach nad głową. I nie tylko dach. Przez cały wrzesień wsłuchiwałem się w wybuchy bomb i wycie pocisków, bijących w Warszawę. Nocami wychodziłem chylkiem z domu, biegłem na brzeg lasu i stamtąd patrzyłem wprost, już bez żadnej osłony, na płonące miasto.

Czy myślałem wtedy o naszym mieszkaniu przy ulicy Wilczej? Nie. Przysięgałem, że nie. I to właśnie „niemyślenie” o nim stworzyło między nami jakąś zapórę. Obserwowałem ją w chwilach ciężkich nalołów, najgłośniejszego ostrzału artyleryjskiego, oczywiście nie na nas skierowanego, ale mimo to mogącego oddziaływać na psychikę. Nie zdradzała jednak żadnych uczuć: leżała wygodnie rozciągnięta na tapczanie, paląc niezliczone ilości papierosów i pijąc niezliczone ilości małych filiżaneczek czarnej kawy. Czytała lub przeglądała czasopiśma zagraniczne, przeważnie wydawnictwa francuskie o charakterze pseudonaukowym, albo ilustrowane tygodniki, traktujące o teatrze, filmie, modzie. Była z wykształcenia romanistka.

Gdy którejś nocy wykryła, że wychodzę — wpadła w szalony gniew: nawymyślała mi od głupców, zarzucała brak odpowiedzialności. To ostatnie zaskoczyło mnie: brak odpowiedzialności? Wyszędłem wtedy z pokoju nie kwapiąc się do wyjaśnień i wyzerpany calonocnym czuwaniem nad płonącą Warszawą położyłem się od razu spać.

A teraz, gdy Warszawa padła — moja decyzja natychmiastowego powrotu do miasta spotkała się z namyślnym sprzeciwem mojej matki: „Nie spiesz się. Odczekaj”.

— Nie rozumiem — odpowiedziałem — odczekać aż wystygnie? To chciałaś powiedzieć?

— Jesteś ordynarny. Miałam na myśli zachowanie się wkraczających Niemców. Mogą cię zatrzymać, aresztować, Bóg wie, co jeszcze. Odczekaj parę dni, a pojedziemy razem.

— Pojedziemy? Czym? Nie wyobrażasz sobie chyba...

Nie, nie wyobrażała sobie. A ja chyba pierwszy raz w życiu przeciwstawiłem jej się tak ostro i zdecydowanie.

— Potrzebny mi jest plecak — tym powiedzeniem przeciąłem dalszą dyskusję. Znalazłem go po dłuższym poszukiwaniu i wszedłem do kuchni. Nie zważając na gwałtowne protesty gosposi, wypakowałem go puszkami konserw, torbą cukru, paczką kawy i herbaty. Gdy w końcu sięgnąłem po chleb, z wielkim trudem zdobyty wczoraj, gosposia podniosła krzyk, a matka, która chodziła za mną krok w krok i w milczeniu obserwowała co robię — zapytała z najwyższym zdumieniem:

— Zabierasz mi tę resztę chleba?

— Zabieram — odpowiedziałem ostro — „Oni” tam na pewno nie widzieli chleba od dawna.

— Kto? — spytała jeszcze. I tym mnie doprowadziła do ostateczności: wyszedłem bez pożegnania, zarzucając na ramiona wyladowany żywnością plecak.

Do szosy warszawskiej miałem niedaleko Szedł od niej pogłos wykraczający daleko poza zwyczajny turkot kół i warkot motorów.

Szliśmy kilka godzin, opóźniani częstym ustępowaniem z drogi oddziałom, maszerującym całą szerokością szosy.

Do miasta wchodziliśmy od strony Wilanowa. Przed Belwederem stała niemiecka warta. Już ten widok przyprawił mnie o zamęt w głowie, toteż niewiele pamiętam z dalszej drogi.

Byłem spokojny, ale całkowicie zdeorientowany. Nawet tam, na szosie czułem się lepiej, ale tam wiedziałem, że idę ku czemuś. Własne mieszkanie mnie nie interesowało. Wyjrzałem przez okno wychodzące na ulicę: domy z naprzeciwka stały nie tknięte z wyjątkiem jednego, który trafiony widocznie bombą większego kalibru, rozpadł się cały, tylko jedna jedyna ściana oparła się sile wroga i sterczała samotnie, jakby stróżując...

MATKA I SYN

(OPOWIADANIE)

Wprawdzie niechętnie, zabrałem się jednak do sprzątania. Zaczęłem od pokoju mamy, a konkretnie od jej biurka, przy usiłowaniu przesunięcia go na dawne miejsce, wypadła reszta szufladek.

Dobrze wiedziałem, że moja matka porządną nigdy nie była, i że w jej biurku prócz ważnych dokumentów znaleźć można było podarte półeczki, stare kredki do ust lub rachunki za gaz czy elektryczność sprzed paru lat. Już — już miałem wrzucić byle jak, do byle jakiej szuflady ich bezładną zawartość podjętą z podłogi, gdy uwagę moją zwróciła mniejsza od innych szufladka, w której leżały porządnie zapakowane i owiązane sznurkiem paczki, z kształtu mogące przypominać zbiór fotografii lub listów. Zaintrygowało mnie to. Pomyślałem nie bez złośliwości: „co też moja mamusia znała za godne starannego przechowywania?”

Przysunąłem sobie fotel, ustawiłem obydwie świece umocowane uprzednio w doniczkach z ziemią (po wyrwaniu z nich uschniętych badyli). I, zabrałem się do dzieła z pełną świadomością, że popełniam rzecz brzydką odwołując to, co jest związane, że uchylam się od obowiązującej w mojej sferze dyskrekcji. Chwilę wahałem się jeszcze, czy sięgnąć po te matczyne tajemnice, ale raz rozbudzona ciekawość przemogła i zdesperowanym ruchem rozwiązałem pierwszą paczkę: spięte starannie spinaczami ukazały mi się jakieś kwity — niekwity, raczej pocztowe rewery przesyłanych na adres matki pieniędzy. Przejrzałem je uważnie i zorientowałem się, że ułożone są według dat poczynając od roku 1921. Na wielu figurowały jednakowe sumy. To te na przekazach wysyłanych z Warszawy, bo od roku 1930 były to już jakieś przelewy bankowe w obcych walutach przez banki zagraniczne. Nadawcą wszystkich był niejaki Piotr Zubrzycki... zaraz... zaraz... przecież to moje nazwisko! Oczywiście, nazywam się przecież Wiesław Zubrzycki, a Piotr, to chyba mój ojciec, ten wyrodek, który mnie opuścił, gdy miałem dwa lata, i nie tylko nigdy nigdy niełożył na moje utrzymanie, ale i znać mnie w ogóle nie chciał.

Długą chwilę patrzyłem na ten stos

przekazów w kompletnym osłupieniu. Jak to? Wjść byłem oszukiwany? Mówiono mi przecież, że opuścił, że nie chciał, że się uchylał od płacenia alimentów? Że to dziadkowie pomagali matce, że to oniłożyli na moje wychowanie?

Oczym własnym nie wierząc, zacząłem te rozsypane dokumenty układać w dawnym porządku, z początku według dat, ale potem według miejsc nadania. I tu wyłonił się obraz nieustalonego życia mego nieznanego ojca: bo gdzie on to nie bywał, gdzie nie mieszkał? Ale przez wszystkie te długie lata wszędzie o mnie pamiętał? Czy to możliwe? Dowody przysyłania pieniędzy urywały się na roku trzydziestym ósmym. Czyżby

Sam nie wiem, czemu powtórzyłem je głośno. Zabrzmiały jak wezwanie. W tej chwili jedna ze świec zgasała. Ogarnął mnie zupełnie niezrozumiały lęk. Bo i przed czym? Nie wiedziałem. Podciąłem nożyczkami knot świecy i zapaliłem ją od nowa. Zaskwierczała, lecz po chwili posłusznie zapłonęła poprzednim blaskiem.

Podczas tej niewinnej czynności zauważyłem drżenie swoich rąk. Wiem co je spowodowało — podpis listu: „twój ojciec”.

Długo wpatrywałem się w te słowa jak urzeczony, zanim wróciłem do strony tytułowej i zacząłem czytać:

„Na żaden z moich listów nie odpowiadziałeś. Z początku myślałem, że po prostu listy z dalekiej Australii

fotografii na dawnym miejscu. W pierwszym odruchu chciałem ją spalić i już, już przykładałem do płomienia świecy. W ostatniej chwili zmieniłem zamiar i rzuciłem ją na ziemię, w kącie, gdzie niezrozumiały przypadek zgromadził najgłośniejsze skorupy i szpargały. A zrobiłem to chyba dlatego, aby matka — gdy wróci i zobaczy swoje zdjęcie na ścianie, jako jedynie ocalała, nie uznała tego za symbol, za szczególny znak losu lub coś podobnego.

— Ale chyba tak jednak nie było: prawdziwa przyczyna sięgała głębi mego jestwa. „Nigdy — jej tego nie daruję — stwierdziłem w poczuciu krzywdy. — Odejdę. Nie mógłbym po tym wszystkim żyć z nią pod jednym dachem. Nie chcę więcej słyszeć jej głosu, jej apodyktycznych wypowiedzi, jej wyrzekań i pretensji o cokolwiek, co odbiegało od jej norm”.

Tak, właściwie byłem już na to zdecydowany po przeczytaniu tego jedynego listu i rozpoznaniu w spiętych spinaczami karteluzkach alimentacyjnych przekazów, a przecież listów było więcej, a prócz nich jeszcze jakieś odpisy protokołów sądowych...

Czytałem je wszystkie do białego rana. Zanim wszedł przez wybite okna późny świt jesiennego dnia, wypały się zakotwiczone w doniczkach świece. Na szczęście znalazłem dwie inne. Osadziłem je mocno, bo w paru miejscach były nadłamane. Spojrzałem na zegarek — wskazywał godzinę szóstą. Głowa pękała mi z bólu, a całym ciałem wstrząsały dreszcze. Byłem przemarznięty do szpiku kości i dziwnie obolały. W moich myślach panował zupełny chaos. Przystawienie sobie odkrytych prawdy wydawało się ponad moje siły. Odnalazłem jakiś kubek, nałamałem go brzością koniaku i wypiliśmy duszkiem. Po tem już z trudem dołokłem się do tapczanu nakrytym narzutą i natychmiast zasnąłem.

Jak się potem okazało — spałem do południa. Obudził mnie zgrzyt klucza w zamku. Usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi frontowe i wchodzi do mieszkania. Nie chciało mi się ruszać spod ciepłego nakrycia, nie chciało mi się także widzieć kogokolwiek. Nasunąłem narzutę na głowę.

Ale to była moja matka, więc od razu znalazła mnie w tym, tak miłym zernym schronie.

— Bój się Boga! Co ty, śpisz?

Wypatrzyła też od razu butelkę po koniaku.

— Pileś?

— Aha — odpowiedziałem z dużą dozą niedbałości. — Skąd się tu wzięłaś? Chyba nie przyszłaś piechotą?

— Przyjechałam.

— Jak to?

— Przecież mówię błędnym po niemiecku.

— Więc co z tego?

— Wysłałam na brzeg szosy. Właśnie przystanął tam jakiś wóz wojskowy. Poprosiłam, żeby mnie zabrał, no i jestem.

— Prosiłaś Niemców? Jechałaś niemieckim samochodem?

— Cóż się tak dziwisz? Naszych już nie ma, a kolejka nie chodzi.

— Nie mogłaś odczekać, aż wrócę?

— Umówiliśmy się tak przecież.

— Byłam pewna, że nie dasz sobie tu sam rady. Na szczęście nasz dom stoi.

— Tak ci się tylko zdaje.

— Jak to?

— Powiedziałem: tak ci się tylko zdaje.

— Słuchaj no, ileś ty wypił tego koniaku? Robisz takie wrażenie, jak

byś był jeszcze pijany.

To ci się także tylko zdaje.

ZOFIA LORENTZ

zmarł? Ach, nie, to po prostu data mojej pełnoletności... I trzeba było dopiero wojny i tych szczególnych okoliczności, jakie niosła ze sobą, abym odkrył prawdę, jakże okrutnie ukrywana przede mną.

W głuchej ciszy, jaką byłem ogarnięty wewnątrz pustego domu i jaka trwała także poza oknami pozbawionymi szyb, słyszałem niespokojne bicie własnego serca. Powoli ogarniał mnie lęk przed koniecznością oceny zatajenia przede mną prawdy, z drugiej jednak strony — jeszcze nieśmiała radość z odkrycia ojcowiskiej wierności nieznanemu dziecku. Znalazłem się w dziwnej sytuacji: traściłem matkę, zyskując równocześnie ojca. Obojga nie znałem. Jak się okazało: bo ani rozmiarów okrucieństwa pierwszej, ani szlachetności drugiej.

Tkwiałem przy tym biurku długie godziny nocy w niepojętym bezwładzie. Rozmyślałem o krzywdzie, jaką mi zgotowano, było to jednak rozmyślanie bezradne, do niczego na razie nie wiodące, bolesne, ale i obywatelsko odpowiedzialne. Do granic krzywdy dotrzeć nie mogłem.

Spoglądałem trwożliwie na drugą paczkę, jeszcze nie rozwiązaną i bałem się jej. A nuż przyniesie jeszcze coś bardziej zaskakującego? A może zawiera w sobie inne jeszcze pierwsiatki burzące mój dotychczasowy świat? Wodząc bezmyślnie wzrokiem po otaczających mnie sprzętach, zauważyłem jakąś butelkę, wtuloną pod półkę z książkami. Podniosłem ją z zaciekawieniem i stwierdziłem z radością, że to autentyczny Martini. Przeglądnąwszy głowę do tyłu, płem z niej dużymi haustami dobroczynny koniak. Zdawałem sobie sprawę, że chcę nabrać odwagi do stawienia czoła listom, jakie musiała zawierać druga paczka. Nie omyliłem się — były to listy... arkusiki najróżnorodniejszego formatu, niektóre już pożółkłe, pisane jednak tym samym meksem charakterem pisma, ułożone również według dat. W porównaniu z pocztowymi dowodami nie było ich wiele, a ostatni, ten z samego wierzchu, po który sięgnąłem, nosił datę pierwszego sierpnia 1939 roku. Pochodził z Londynu i adresowany był chyba do mnie, skoro zaczynał się słowami: „Mój drogi Synu”.

gina gdzieś po drodze i nie docierała do Polski. Później zacząłem podejrzewać, że matka nie pozwala ci odpisywać na moje listy. Ale gdy lata biegnęły, a ty rosłaś i z dziecka stawałaś się młodzieńcem, a więc kimś samodzielnie myślącym, twoje milczenie nie wydało mi się podejrzane. Może cię w ogóle nie ma? Czynieć więc jeszcze jedną próbę i wysłać nowy list, tym razem pocztą zwykłą. Skoro lotnictwo zawodziła, w którym próbuję cię uprzedzić, że noszę się z myślą powrotu do kraju i to już w najbliższym czasie. Sądzę, że kiedy się spotkamy, będziesz mi jednak miał dużo do powiedzenia, a także chętnie wysłuchasz relacji z mego, nie znanego ci życia na obczyźnie. Sciskam ci dłoń

Twój Ojciec”

W miarę czytania tych prostych zdań, ogarniało mnie uczucie zgrozy. Z trudem oderwałem od nich wzrok, podświadomie przenosząc go na przeciwległą ścianę, odkąd pamiętam wisiła tam fotografia mojej matki. Kiedy dorosłem dziwidłem się, że właśnie tu wisi. Raziło mnie to: wieśsząc sobie we własnym pokoju własne zdjęcie, oprawne w kosztowną ramę? Wyglądało mi to na samouwielbienie. A teraz, dziwnym zbiegiem okoliczności, z wielu ozdób ściennej jedynie ta fotografia pozostała na ścianie, wszystkie inne, rozbite, leżały na ziemi.

Nie bardzo wiedząc dlaczego wstałem nagle, podszedłem do ściany i zdjąłem ją, a raczej zerwałem brutalnie, wyrwijając wraz z gwoździem. Wróciłem potem na fotel i zacząłem się jej przyglądać w świetle obydwu świec. I po raz pierwszy chyba w życiu stwierdziłem, że oglądam podobiznę Nieznajomej. Bo ciemne okulary, jakie matka stała nosiła, a których nie zdjęła także do fotografii, zaciemniały nie tylko oczy, ale całą twarz, pozbawiając ją jakiegokolwiek wyrazu. I stwierdziłem z rozpaczą, że widocznie nigdy swojej matki nie znałem. Skoro na myśl mi nie przyszło, że te ciemne szkła kryją za sobą okrucieństwo, jakiego niezbity dowód leżał teraz przede mną.

Wkrótce miałem tego patrzenia dość, ale nie mogłem już powiesić



Z DALEKIEJ
CIEMNI

Kiedy uschnięta gałąź zakwitnie
I światło spod śniegu wybuchnie
Kiedy w szybie twój oddech zaplonie
I cienie zmarłych odejdą
Kiedy z dymiących bagnisk wyjdą motyle
I nikt się ziemi nie zaprze

Wtedy iza dobroci z kamienia wytryśnie
i z dalekiej ciemni ubodzy powrócą
Wtedy brzegi oceanów znowu się zejdą
I wielka gwiazda rozbłyśnie na wzgórzach
Wtedy Człowiek (z poranionym czołem)
Wejdzie w swój dom gdzie okrucieństwo
Nie powróci już z koła śmierci

Spójrzcie
Tam za stromym czasem
Gdzie zielona chmura się zbliża
Uschnięta gałąź zakwitła

HENRYK HARTENBERG

U PRZYJACIÓŁ

Na rynku księgarskim Niemieckiej Republiki Demokratycznej ukazano się już pięć tomów „Biblioteki Zwykłej”: „Popiół i diament” Andrzeja Kłosa, „Nadzy wśród wilków” Apizy, „Gorący śnieg” Bondarewa, „Prawdziwy człowiek” Polewoja i „Tytoń” Di-mowa.

Całość tej serii wydawniczej, dotyczącej problematyki II wojny światowej i wydarzeń z nią związanych liczyć będzie 35 tomów. Są to pozycje wybitnych autorów ze Związku Radzieckiego, Polski, Czechosłowacji, Węgier, Bułgarii, Mongolii i Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

W Niemieckiej Republice Demokratycznej rozpisano niezwykle ciekawą ankietę. Instytut Nauk Społecznych przy A.C. SLD przeprowadził w 11 zakładach jednego z kombinatów budowy maszyn ciekawą ankietę na temat: Czego obywatel NRD oczekuje od sztuki? Trzecie wszystkim — jak się okazało — przyjemności i rozrywki. Opinie taka wyraża 33,7 procent robotników, 58,4 procent inżynierów i 48,9 procent młodych pracowników.

Na drugim miejscu znalazł się pogląd, że sztuka powinna zaznajamiać z życiem innych narodów; na trzecim — iż sztuka nie powinna dostarczać żadnych gotowych rozwiązań i powinna pobudzać do myślenia. Kolejne odpowiedzi akcentowały, że sztuka powinna sprzyjać krytycznemu spojrzeniu odbiorcy na społeczeństwo oraz pomóc zapomnieć o codziennych kłopotach i troskach.

„Mam trzydzieści lat...” pod takim tytułem wystawiono ostatnio na scenie budapesteskiego teatru komediowego Vigsinnaz „dokumentalny musical”, zbiorowe dzieło sześciu autorów: Gezy Beremenyi, Andreasa Kerna, Laszlo Martona, Zsuzsy Radnoti, Gabora Pressera i Anny Adamis. Autorzy pokazują nurt życia kilku pokoleń trzydziestolatków od początku wieku XX nawiązując do wydarzeń bieżących. Widzimy na przykład z jednej strony postać węgierskiego arcybiskupa szabli Attili Pelschana, który cieszy się ze zdobycia mistrzostwa świata w Wiedniu w roku 1927, z drugiej zaś — radosa manifestację robotników, którzy brali udział w odbudowie mostów budapesteskich tuż po drugiej wojnie światowej. Krytyka i widownię zwracając z uznaniem uwagę na walory artystyczne i dokumentalne scenariusza.

Nakładem wydawnictwa Bułgarskiej Akademii Nauk ukazała się bogato ilustrowana praca Wandy Smochowskiej — Petrowej zatytułowana „Michał Czajkowski — Sadyk Pasza i bułgarskie Odrodzenie”. Książka jest przeglądem politycznej działalności emigracyjnego działacza politycznego i powieściopisarza Michała Czajkowskiego (1804—1886) związanej z dziejami narodu bułgarskiego w epoce Odrodzenia.

W książce tej w sposób szczegółowy przedstawione są nowo odkryte dokumenty z polskich i obcych archiwów dotyczące działalności Czajkowskiego. Przytoczone fragmenty zachowanych w rękopisie dzienników podróży i wspomnień Czajkowskiego o Bułgarii, a także jego korespondencja z innymi emigrantami, rzucają nowe światło na niektóre ważne problemy związane z walkami religijnymi, zrywem rewolucyjnym, powstaniem bułgarskim i działalnością oświatową w okresie Odrodzenia.

Autorka przeanalizowała działalność Czajkowskiego po przyjęciu przez niego mahometanizmu i przybraniu imienia Sadyka — Paszy, a także jego aktywność, jako głównego dowódcy Kozaków otomańskich, znanych w Bułgarii pod nazwą „Kozakalfaja”. Przy okazji wyjaśniona została rola tych pułków, rekrutujących się głównie spośród ludności bułgarskiej. W książce przeprowadzono szczegółową analizę twórczości literackiej Czajkowskiego w ścisłym powiązaniu z jego działalnością polityczną.

Wśród tysiąca partnerów Międzynarodowej Książki, Ars Polona — Ruch na leży do największych i najpoważniejszych. W ciągu ostatnich dziesięciu lat wymiana towarowa wzrosła przeszło dwa razy. W roku 1964 Polska kupowała trzy miliony czterysta tysięcy książek radzieckich, w roku 1974 radziecką Książkę, Ars Polona — Ruch nabył dziesięć tysięcy.

Równie szeroka wymiana prowadzi się w zakresie wydawnictw periodycznych, a więc gazet i czasopism. W ZSRR sprzedaje się czterysta tytułów wydawnictw periodycznych z Polski, których jednorazowy nakład wynosi około miliona egzemplarzy. Znaczenie więcej zaczęto rozpowszechniać prasę radziecką w Polsce: „Prawda”, „Komsomolskaja Prawda”, „Sowieckij Sojuz”, „Literaturnaja Gazeta”, liczne tygodniki i miesięczniki. W nakładzie stu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy rozchodzi się w Polsce tygodnik „Kraj Rad”. Wielką popularnością cieszą się w Związku Radzieckim wydawnictwa polskie w języku rosyjskim: miesięcznik „Polsza” i „Gorizonty techniki dla dzieci”.

Wzajemna współpraca w zakresie wymiany słów drukowanego rozwija się bardzo pomyślnie i należy się spodziewać iż na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie podpisana zostanie umowa o dostawach książek, wydawnictw periodycznych i płyt na prawie sześćset tysięcy rubli.

Niemal nazajutrz po nieudanej próbie przewrotu w Portugalii, dokonanej 11 marca tego roku, Rada Rewolucyjna Ruchu Sił Zbrojnych podjęła decyzję o niezwłocznej nacjonalizacji kredytowych banków i instytucji kredytowych, należących do prywatnego kapitału portugalskiego. Wśród nich znalazły się takie potęgi jak: „Espirito Santo”, „Portuguesa du Atlantico”, „Pinto e Cotta Maior”, „Borguesa lman” i szereg innych. Był to cios mocny i dobrze wymierzony, bowiem od dłuższego już czasu mnożyły się fakty świadczące o powiązaniach kół finansowych z ugrupowaniami ultrapravicowymi oraz o pomocy finansowej w przygotowywaniu puczu.

Już we wrześniu ub. roku jedna z gazet lisbońskich zwróciła uwagę opinii publicznej na bliskie i bardzo częste osobiste kontakty gen. Spinoza z znanym portugalskim magnatem przemysłowym, Antonio Champalimaud. A 5 marca tego roku minister informacji rządu portugalskiego oskarżył otwarcie na konferencji prasowej niektóre grupy przemysłowe o podjudzanie do przewrotu.

Władze portugalskie — jak podaje m.in. londyński „Sunday Times” — przygotowały już sprawozdanie, które rzuca nowe światło na przyczyny nacjonalizacji banków. Autorzy sprawozdania oskarżają znaną rodzinę bankierską — Espirito Santo, jedną z najbogatszych w Portugalii i najbardziej uprzywilejowaną w okresie rządów obalonego reżimu, o sabotażowanie polityki Ruchu Sił Zbrojnych. Ośmiu członków rodziny Espirito Santo przebywa obecnie w więzieniu od chwili, gdy bank „Espirito Santo”, jeden z największych w Portugalii, został znacjonalizowany w liczbie innych kilkunastu prywatnych banków portugalskich.

Sprawozdanie jest owocem 10-miesięcznego śledztwa, prowadzonego przez urzędników banku. Pod nosem swoich dawnych pracodawców udało im się potajemnie wykonać kopie dokumentacji bankowych, włącznie z osobistymi kontami dyrektorów. Wykryto interesujące fakty.

Poczynając od marca ub. roku, kiedy już najwyraźniej odczuwano się powiew rewolucji i sześć tygodni przed tym, nim Ruch Sił Zbrojnych obalił reżim faszystowski, członkowie rodziny Espirito Santo mieli nielegalnie zawyżone kredyty bankowe na pokrycie osobistych wydatków. Gdy po obaleniu faszystowskiego reżimu Caetano, w

kwietniu 1974 roku, rząd pozostawił w dyspozycji prywatnych banków 700 milionów funtów szterlingów na stymulowanie działalności ekonomicznej kraju, bank „Espirito Santo” przekazał swoją część asygnat filialnym kompaniom, włączając pieniądze do obiegu własnych kombinacji finansowych.

Jedną z kopii sprawozdania przekazano do kancelarii premiera już w lutym tego roku. Prezydent zlecił wówczas ekspertom ekonomicznym pięć nad koordynacją prac inspektorów banku centralnego, oddelegowanych do kontroli banków prywatnych. Szybkość z jaką dokonano nacjonalizacji banków oraz aresztowań niektórych

talnych wejść do banku, zajęli ich luksusowe gabinety umeblowane w stylu Ludwika XIV.

Jeszcze bardziej konfliktowe punkty sprawozdania dotyczą handlowej i politycznej działalności banków, 700 milionów funtów szterlingów, które Rząd Tymczasowy powierzył bankom w ubiegłym roku, były przeznaczone wyłącznie na podjęcie zdecydowanych kroków w dziedzinie rozwiązania problemów zatrudnienia. Był to okres poważnych trudności ekonomicznych. Sytuację komplikował fakt, iż z Afryki zaczęli powracać żołnierze portugalscy, zdemobilizowani wskutek decyzji dekolonizacyjnych. Według danych ekspertów ekonomicznych na-

Jednakże w świetle wydarzeń z 11 marca br. szczególnie znamienne są operacje banku „Espirito Santo” zmierzające do poparcia określonych partii politycznych. W dokumentach sprawozdania figurują kredyty bez zabezpieczenia, udzielone — na polecenie jednego z dyrektorów „Espirito Santo” — przywódcy tzw. „Partii Postępowej”, na krótko przed zaplanowanym na wrzesień ub. roku wystąpieniem „milczącej większości”. W świetle ujawnionych już faktów nie ulega najmniejszej wątpliwości, że „Partia Postępowa” była powiązana ze zwolennikami starego reżimu.

Bank „Espirito Santo” finansował także partię socjaldemokratycznego centrum. Stoł on na skrajnie prawicowym skrzydle i korzystał z poparcia konserwatywnych kół politycznych Europy, włącznie z brytyjskimi torysami.

W sierpniu ub. roku — czytamy dalej w sprawozdaniu — bank „Espirito Santo” otworzył konta dwóm klientom. Jednego z nich wpisano pod nazwiskiem Jorge Manuel da Silva. Wbrew obowiązującym przepisom, obok nazwisk tych klientów nie podano ich adresów, a urzędnicy otrzymali instrukcje zachowania w tajemnicy całej korespondencji dotyczącej tych kont.

Wszystkie czeki pokrywane z tego konta były podpisywane nazwiskiem — da Silva. Jedynym zbiegiem okoliczności jeden z byłych dygnitarzy w banku „Espirito Santo” nosił nazwisko: Jorge Manuel Espirito Santo Silva... W przeszłości dowodził on pododdziałem „Legionu Portugalskiego”, zmilitaryzowanej organizacji, znanej ze swych powiązań z ultrapravicą i rozwiązanej po rewolucji 25 kwietnia 1974 roku. Środki przeznaczone na pokrycie czeków da Silvy przelano do „Banco Pinto e Sotto Maior” na konta organizacji, która była poprzedniczką partii socjaldemokratycznego centrum.

Bank „Espirito Santo” stale praktykował ukrywanie adresatów swoich „darów” składanych w istocie na określone cele polityczne, rejestrując tylko znikomą część nazwisk ich odbiorców. Za przykład może tu posłużyć pomoc okazana przez bank centrystycznej partii narodowo-demokratycznej.

W lipcu minionego roku dwaj mężczyźni, podający się za Jose S. Almeida oraz Manuel Arrozele otworzyli konta w głównym biurze banku „Espirito Santo”. Później urzędnicy tego biura ustalili, iż prawdziwe nazwiska tych mężczyzn brzmią: Jose Manuel Rodrigues Simenez de Almeida i Manuel Arrozele Maleiro Alegria. Obaj są znanymi działaczami partii narodowo-demokratycznej.

Jeśli chodzi o Alergie, to udzielono mu ulgowego kredytu na sumę 100 tysięcy funtów szterlingów, jakoby niezbędnych na pokrycie wydatków związanych z „leczeniem teścia”. Pomijając już fakt ogromnej sumy, od klienta, wbrew przyjętej praktyce, nie żądano żadnych uzupełniających danych. Jak się okazało, pieniądze wypłacone przez bank były potrzebne partii narodowo-demokratycznej na wydatki związane z kampanią propagandową...

JERZY CZECH



wielkich rekinów bankowych, akurat w momencie, kiedy Ruch Sił Zbrojnych stał w obliczu dalszych wrogich akcji ze strony elementów pravicowych, należy tłumaczyć, w pewnej mierze, analizą sporządzonego już sprawozdania i wytykającymi z niego wnioskami.

Kontrolerom bankowym udało się ustalić, iż w końcu ubiegłego roku depozyty banku „Espirito Santo e Comercial di Lisboa” wynosiły 552 miliony funtów szterlingów; żaden inny bank w Portugalii nie dysponował taką sumą. W warunkach kontrolowanej przez Salazara „korporacyjnej” ekonomiki, banki stworzyły wielkie imperia, z których tylko jedno, należące do rodziny Espirito Santo, obejmowało przemysł naftowy, przemysł stalowniczy, produkcję papieru, cementu, piwa i opon samochodowych. Pod kontrolą rodziny Espirito Santo znajdował się cały system towarzyszący ubezpieczeniowym i plantacji w koloniach afrykańskich. Tak więc było to bardziej gigantyczne konsorcjum niż bank. Obecnie kierują nim urzędnicy innych banków lisbońskich, skierowani tam przez związki zawodowe. Po usunięciu marmurowych popiersi poprzednich właścicieli z monumen-

leżało zabezpieczyć w tym czasie prac 164-tysiącom osób.

W sprawozdaniu wymienia się nazwy dwóch firm, wybranych przez ówczesną radę nadzorczą banku „Espirito Santo”, pomyślanych jako dobre miejsce do ukrycia państwowych pieniędzy. W jednym z raportów widnieją zarejestrowana firma obróbki drewna „Siaf”. Zapisy buchalteryjne wykazują, iż w okresie od 15 marca 1974 roku do 17 lutego 1975 roku kapitały „Siaf” zwiększyły się w zagadkowy sposób aż czterokrotnie. W tym samym czasie właściciele firmy mówili robotnikom, że firma ponosi straty i będzie musiała mocno przykrocić śrubę...

W innym dokumencie figuruje jedna z największych kompanii grupy „Espirito Santo” — „Sociedade Central di Servedas”. Jest to największa w Portugalii wytwórnia piwa. W 1974 roku jej kapitały wzrosły dwukrotnie, podczas gdy nie zwiększyła się liczba robotników zatrudnionych w przedsiębiorstwie i nie było mowy o jakichkolwiek planach rozszerzenia produkcji. Kierownictwo Ruchu Sił Zbrojnych prowadzi obecnie oficjalne śledztwo w sprawie działalności „Sociedade Central di Servedas”.

■ Sojusz, który sprawdził się pokojem ■ Ofensywa dyplomatyczna prez. Sadata

Minęła właśnie ważna rocznica — 20-lecie Układu Warszawskiego. Do naszej stolicy zjechali z tej okazji przedstawiciele parlamentów krajów — sygnatariuszy Układu. Spotkanie zakończyło się uchaleniem apelu do parlamentów europejskiego kontynentu. Wzywa on do: utrwalenia zasad pokojowego współistnienia, działania na rzecz rychłego i pomyślnego zakończenia Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, ograniczenia i wstrzymania wyścigu zbrojeń, rozwoju stosunków gospodarczych, naukowych i kulturalnych, zmierzających do dalszego zespolenia narodów Europy i przekształcenia jej w „kontynent trwałego pokoju, przyjaźni i wzajemnie korzystnej współpracy międzynarodowej”.

Układ o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej, podpisany 14 maja 1955 roku w Warszawie, śmiało można nazwać **układem, kształtującym historię**. Został on zawarty w sytuacji, kiedy „zimna wojna”, rozpętana przeciwko krajom socjalistycznym, sięgała zenitu, a remilitaryzacja Niemiec zachodnich miała pozyskać wykorzystanie — potencjału odwetowego państwa w imię agresywnych celów. W takiej sytuacji

państwa budujące socjalizm postanowiły utworzyć własną organizację obronno-wojskową, skoordynować działania i tym samym uniemożliwić agresję przeciwko nim. Organ polityczny Układu — Doradcy Komitet Polityczny od pierwszej chwili występował z pokojowymi inicjatywami. Na tym forum zrodziła się m. in. inicjatywa zwołania konferencji europejskiej, która doszła do skutku i w bieżącym roku oczekujemy jej finału. Jesteśmy przekonani, że zostaną opracowane i przyjęte wiążące normy i zasady pokojowego współistnienia i współpracy europejskich krajów. Tak materializuje się myśl, która przed sześcioma laty zawarta została w apelu Doradczego Komitetu Politycznego.

Kalendarium inicjatyw pokojowych państw — stron Układu Warszawskiego jest szczególnie bogate. W ciągu dwudziestu lat istnienia Układu wysunięto dziesiątki propozycji, zawsze mających na celu zagwarantowanie pokoju.

Tak więc zawarty przed 20 laty sojusz nie tylko zapewnił nienaruszalność zdobyczy socjalistycznych, ale również ułatwił umocnienie pokojowego ładu w Europie. Na sprawę bezpieczeństwa na naszym kontynencie patrzymy jednak przede wszyst-

kim pod kątem tego, co mamy jeszcze do zrobienia. Opowiadamy się przeciw za utworzeniem systemu ogólnoeuropejskiego bezpieczeństwa zbiorowego, który zastąpiłby istniejące ugrupowania militarne. W tekście Układu stwierdza się to wyraźnie:

„W przypadku utworzenia w Europie systemu bezpieczeństwa zbiorowego i zawarcia w tym celu ogólnoeuropejskiego układu o bezpieczeństwie zbiorowym, do czego wytrwale dążyć będą układające się strony, układ niniejszy utraci swą moc z dniem wejścia w życie ogólnoeuropejskiego układu”.

20 rocznica Układu Warszawskiego jest okazją do jeszcze jednej refleksji. Postęp, jaki dokonał się w świecie w kierunku pokoju, był możliwy dlatego, że kraje socjalistyczne działały jednolicie — według uzgodnionej linii i w ścisłej koordynacji. Do tej jedności Polska przywiązuje szczególną uwagę, opowiadamy się za doskonaleniem metod i wzbogacaniem treści współdziałania krajów Układu Warszawskiego zarówno w realizacji ich wspólnej polityki obronnej, jak też wspólnej polityki międzynarodowej.

Sojusz, jaki zawarliśmy przed 20 laty, jest sojuszem dla pokoju. W rocznicę historycznej daty możemy z dumą stwierdzić, że państwa, które do niego przystąpiły ani wspólnie,

ani oddzielnie nie spowodowały żadnego konfliktu zbrojnego, a ich polityka nigdzie nie wywołała napięcia.

★ ★ ★

Z bieżących wydarzeń najbardziej są obserwowane te, które rozgrywają się na Półwyspie Indochińskim i na Bliskim Wschodzie. Sytuacja w Wietnamie Południowym i Kambodży poważnie ostatnio wiele miejsca. A co słychać na Bliskim Wschodzie?

W ub. tygodniu pisaliśmy o podróży prez. Forda, której trasa prowadziła także do Kairu. W ścisłym związku z tym pozostaje ofensywa dyplomatyczna prez. Sadata, wyrażająca się m. in. w jego podróżach do Kuwejtu, Syrii, Jordani i Iraku. Celem prowadzonych tam rozmów jest umocnienie solidarności arabskiej i opracowanie wspólnej strategii na najbliższy okres. Chodzi o rozważenie propozycji, z którymi kraje arabskie mogłyby pojechać do Genewy na konferencję pokojową.

Zapowiedziany na koniec czerwca szczyt arabski będzie z pewnością okazją do wypracowania wspólnego stanowiska. Przedtem jednak trzeba usunąć wszystkie rozbieżności i niedopowiedzenia. Stąd właśnie nowa aktywność Sadata. Mając pełniejsze rozpoznanie — prezydent Egiptu będzie mógł także łatwiej pokierować rozmową z Fordem.

W. ŚLAWSKI

KTO ZABIŁ?

Cykl artykułów, będących próbą zbadania i w miarę możliwości wyjaśnienia okoliczności dramatu sprzed ledwie roku, dobiega końca. Właściwie powinien się zakończyć w poprzednim odcinku. Zostały przecież nasświetlone wszystkie główne, ujawnione dotąd fakty dotyczące zamachu na prezydenta Kennedy'ego. Może nie wszystkie kwestie — odnosi się to zwłaszcza do szczególnie kontrowersyjnych, takich jak analiza ran czy ewentualnych miejsc, z których mogły paść strzały — zaprezentowano w sposób dostatecznie wyrazisty i jednoznaczny. Na pewno pozostało jeszcze wiele niejasności, co w przedmiocie było spowodowane dziesiątkami sprzecznych relacji, zeznań czy dokumentów. Poza tym nikt chyba nie ludzi się, iż w bieżącym odcinku znajdzie nazwiska rzeczywistych sprawców morderstwa dokonanego na prezydencie. A zatem jaki jest cel niniejszego artykułu? W świetle tego, co zostało powiedziane wyżej, wydaje się, iż konieczne jest uzupełnienie i uporządkowanie obrazu przedstawionego w ośmiu poprzednich odcinkach cyklu, konieczne jest także dokonanie rekapitulacji zasadniczych faktów i wyciągnięcie wniosków z nich wynikających, choć na pewno jeszcze nie ostatecznych.

Zacznijmy może od sprawy najważniejszej, tj. zestawienia faktów, które wbrew twierdzeniom komisji dochodzeniowej Warren'a i organów oficjalnych, nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości co do tego, iż zamachowcem nie mógł być jeden człowiek strzelający na dodatek z budynku składnicy książek. A oto owe fakty:

CZAS TRWANIA AKCJI

Na podstawie badań i testów przeprowadzonych przez ekspertów wyznaczono wnioskami, że było praktycznie niemożliwością oddać trzech celnych strzałów w tak krótkim czasie, jaki miał rzekomo do dyspozycji zabójca, tj. około 6 sekund. Było to tym bardziej niemożliwe, iż, jak się później okazało, strzałów było znacznie więcej.

KARABIN

Pomijając już nawet sprawę dość istotną, tj. zeznania, czy bronią z której strzelano do Kennedy'ego ze składnicy książek był na pewno karabin Mannlicher-Carcano, należy podkreślić, iż minimalny odstęp czasowy między dwoma strzałami z tego karabinu wynosił 2,3 sek., co oznacza, że w czasie jednego strzału (0,5 sekundy) i z pewnością celownice, włączając możliwość, aby jeden człowiek mógł oddać wszystkie trzy strzały.

LICZBA STRZAŁÓW

Na podstawie wniosków badań tak prowadzonych wcześniej jak i w okresie późniejszym ustalono, iż oddano znacznie więcej niż trzy strzały (co

najmniej siedem). Trzy lub cztery kule trafiły Kennedy'ego, jedna trafiła w plecy Connally'ego, jedna ugodziła krawężnik w okolicach wiaduktu przy Commerce Street, a fragmenty jeszcze innej znalezione w przednim siedzeniu samochodu po uszkodzeniu przez nią jego przedniej szyby.

RANY

Nie może być wątpliwością co do tego, że prezydent i gubernator Connally zostali trafieni osobno. Pierwsza z kul ugodziła prezydenta w szyję (na wysokości węża krawata) i wyleciała przez tylną część karku. Druga trafiła Kennedy'ego w plecy pod prawym barkiem i prawdopodobnie pozostała w ciele. Trzeci pocisk ugodził prezydenta w lewą skroń. W tym miejscu kilka słów wyjaśnienia. W niektórych dokumentach sporządzonych przez lekarzy z Parkland Hospital mówi się właśnie o strzale w lewą skroń, podczas gdy w innych (w tym również pochodzących z autopsji zwłok w szpitalu Bethesda) — o trafieniu w prawą tylną część głowy, przebiegu czaszki i opuszczeniu jej przez kulę na wysokości prawej skroni. Ta ostatnia wersja wydaje się być dopasowywana do pozycji, jaką rzekomo zajmował Oswald w oknie składnicy. Ponieważ rentgenogramy i kolorowe zdjęcia z autopsji nie zostały dotąd komukolwiek w całości udostępnione, nie można wobec powyższych faktów z całą pewnością stwierdzić, że prezydent nie został ugodzony w głowę również w tym miejscu.

A zatem ilu mogło być zamachowców i jak właściwie przebiegała akcja? Nie jesteśmy obecnie w stanie wypowiedzieć się w tej sprawie w sposób autorytatywny. Spójrzmy jednak na nią z nieco innego punktu widzenia, a mianowicie z punktu widzenia planu jego zamachu i opracowywania jego szczegółów technicznych. Przejmijmy na chwilę, że to my jesteśmy głównymi organizatorami całej akcji, jak zatem powinniśmy rozlokować poszczególne zamachowców, aby przebiegała ona niezawodnie? W tym celu posłużmy się planem Dealey Plaza (odcinek IV). Jak pamiętamy, początkowo trasa przejazdu prezydenta przez plac miała bieść Main Street w kierunku wiaduktu. Gdzie zatem należałoby ustawić „snajperów” aby mogli oddać strzały, które spowodowały rany prezydenta, i to bez względu na to, które z Kennedy'ego przejeżdżałby przez plac? Należy przy tym wziąć pod uwagę fakt, iż miejsca te powinny być tak wybrane, aby po zakończeniu akcji można było je szybko opuścić. Wydaje się, iż poza budynkiem składnicy, który to punkt wybrał chyba głównie dla odwrócenia uwagi od faktycznego, bądź faktycznych miejsc, w których ulokowani byli zamachowcy, takimi punktami mogły być jedynie parkingi lub ich okolice po obu stronach wiaduktu. Zaraz po odwołaniu strzałów można było je przebież bez trudu opuścić przygotowanymi do

tego celu uprzednio samochodami. Szczególnie istotny dla nas jest parking od strony Commerce Street, bowiem dokładna analiza torów wystrzelonych pocisków dowodzi, iż strzał w lewą skroń można było oddać tylko z jego rejonu lub z wiaduktu, przy czym swoboda i pewność działania była znacznie większa w tym pierwszym przypadku.

Czy tak było w rzeczywistości? Tego nie udało się dotąd ustalić z całą pewnością. Wiele jednak przemawia za takim rozwiązaniem planu działania. W pewnej mierze znalazło to potwierdzenie w wersji przebiegu zamachu zaprezentowanej przez prokuratora z Nowego Orleanu, Jima Garrisona, który prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa Kennedy'ego od 1967 roku. Według niego akcję przeprowadziła grupa złożona z siedmiu osób: Amerykanów i emigrantów kubańskich. Trzech snajperów otworzyło ogień do samochodu prezydenta z trzech różnych miejsc, to znaczy z parkingu policyjnego (od strony wzgórze przy Elm Street), z wiaduktu kolejowego i składnicy książek. Według tej relacji, opartej na wynikach długotrwałego śledztwa, Oswald nie należał do tej grupy i 22 listopada 1963 roku w ogóle nie oddał żadnego strzału. Trzech dalszych ubezpieczonych „snajperów”, zaś siódmy był tym człowiekiem, który w momencie, gdy kolumna samochodów jechała Elm Street w kierunku wiaduktu, wzniósł nagłe ręce do góry po czym krzyčąc, padł na ziemię i wil się w „konwulsjach” jak przy ataku epilepsji. Sygnał w tym samym bowiem momencie padły strzały, które ugodziły prezydenta.

Inna, niezwykle interesująca sprawa, którą ujawniło śledztwo Garrisona, był fakt wysłania na pięć dni przed zamachem tzn. 17 listopada, do centrall FBI telegramu opatrzonego symbolem „TWX”, który informował o istnieniu planu zamordowania Johna Kennedy'ego, a który to plan był szczegółowo omawiany tegoż dnia w domu jednej z osób postawionej następnie przez Garrisona w stan oskarżenia. Jak się później okazało, plan ten zrodził się latem 1963 roku i był opracowywany od strony technicznej w specjalnym ośrodku szkoleniowym CIA na Lagunie Pontchartrain. Jednym z ludzi, którzy byli tam wówczas szkoleni, był Lee Harvey Oswald. Tak więc zarówno otrzymanie przez pracę w składnicy jak i jego wcześniejsze pojawienie się w Dallas nie było bynajmniej przypadkowe, choć to nie on był bezpośrednim sprawcą morderstwa popełnionego na Kennedy'm. Człowiekiem, który finansował ową działalność „przygotowawczą” był król nafty z Teksasu, zaciekle przeciwnik Kennedy'ego, miliardier Harold L. Hunt, pozostający w ścisłych kontaktach z czołowymi przedstawicielami kompleksu wojskowo-przemysłowego USA oraz wyższymi funkcjonariuszami FBI i CIA. Jego zaś łącznikiem z bandą Claya Shawa, byźniemena i głównego oskarżonego w procesie wytoczonym mu przez Garrisona, był Jack Ruby.

Postawia jeszcze jedną kwestię, czy Lyndon B. Johnson był zamieszany w sprawę zamachu na swojego poprzednika? Jak już zostało stwierdzone w poprzednim odcinku, wiele faktów na to wskazywało, brak było jednak za-

sadniczych dowodów, które by za tym przekonywająco przemawiały. Ujawnione niedawno materiały świadczą, iż Johnsonowi nie tylko z przyczyn politycznych zależało, aby ze sceny zniknął John Kennedy, A jakie to były przyczyny, postaram się pokrótce przedstawić.

Po pierwsze — Lyndon Johnson pochodził z Teksasu i cieszył się zaufaniem Teksaskiej Grupy Monopoli. Osobista przyjaźń zaczęła go ze wspomnianym już Haroldem Huntem. W roku 1960, podczas konwencji Partii Demokratycznej Kennedy'ego zmuszono, aby kandydatem na wiceprezydenta mianował swojego oponenta, tj. Johnsona.

Po drugie — od momentu objęcia urzędowania wiceprezydent, a później prezydent Johnson pilnie dbał o interesy teksaskich przedsiębiorstw. W 1966 roku firmy z Teksasu przesuwają się z III miejsca na II miejsce na liście zamówień Pentagonu. Szybko wzrasta amerykańskie zaangażowanie w Wietnamie, a więc monopolu zbrojeniowego mają zapewnione na długo obryzmie zyski. Budżet wojskowy wzrasta z 55 miliardów dolarów w 1963 roku do 80 miliardów dolarów w 1968 roku. Dla znawców amerykańskiej sceny politycznej jest sprawą jasną — Lyndon Johnson nigdy nie osiągnąłby swego życiowego celu — prezydentury, gdyby nie zamordowano Kennedy'ego.

Johnson miał także swojego zaufanego człowieka — Bobby Bakera, którego nazwał swoją prawą ręką i o którym mawiał, że jest „ostatnim człowiekiem, z którym się wieczorem naradza i pierwszym, którego widuje rano”. „Maly Lyndon”, jak nazywano Bakera, dwoi się i troi, aby sobie i swojemu protektorowi zapewnić krociowe zyski z racji przekazywania intrzyknych zamówień Pentagonu i Agencji NASA, wybrany przez siebie przedsiębiorstwom. Interesy osi Johnson — Baker szły więc pełną parą naprzód. Baker złożył nawet w Waszyngtonie i jego okolicy Seabard Ocean City Callgirl — sieć luksusowych „pensjonatów”, których bywałcem był również „duży Lyndon”.

Alle ote nagle na początku października 1963 roku wybuchł skandal, którego ofiarą padał właśnie Bobby Baker. Komisja dochodzenia do Senatu zaczęła badać okoliczności sprawy. Jest to bardzo poważna afera korupcyjna. Popycia Johnsona jest poważnie zagrożona. W otoczeniu prezydenta Kennedy'ego coraz głośniejsze mówi się o tym, iż w przyszłych wyborach Kennedy będzie startował z innym kandydatem na urząd wiceprezydenta. Prezydent zaleca jednocześnie dokładne zbadanie sprawy Bakera, bez względu na osobistość, która może być, jak Johnson, poważnie zaangażowana w tę aferę. Nadechł jednak ów tragiczny 22 listopada — Kennedy ginie w Dallas. Johnson jest uratowany. Czyżby więc sprawdziło się „pobożne” życzenie „małego Lyndona” wypowiedziane w dniu zaprzysiężenia Kennedy'ego na prezydenta, do przyjaciela: „Ten skurwysyn nie spowoduje nawet wterech lat na swoim stanowisku, gdyż przedtem umrze nagłą śmiercią”.

Popycia Bakera jest jednak zbyt poważnie zachwiana, aby mógł on wrócić do ścisłego kręgu doradców „wielkiego Lyndona”. Sprawy komplikują się i

Baker w ich efekcie idzie na kilka lat do więzienia, ale za to „duży Lyndon” pozostaje czysty. Podobno, jak się okazało w 1972 roku, za to, że Baker wziął całą winę na siebie Johnson پرداختował mu milion dolarów.

Jednak najważniejszą jest kwestia, czy Johnson był uczestnikiem spisku przeciwko Kennedy'emu. Wydaje się, iż z całą pewnością można na nią odpowiedzieć twierdząco. Od chwili, gdy ogłoszono zapowiedź wizyty w Dallas, wiele osobistości z otoczenia Kennedy'ego ostrzegało go przed tą podróżą z kłopotem, aby tam nie jechał. Do nich należał również gubernator Teksasu, John Connally. Tymczasem Johnson — przeciwnie, cały czas z uporem orzekł, że Kennedy'ego o tym, że powinien tam pojechać. „Namawiał os tak długo, aż ten się zgodził” — jak oisze William Manchester w książce „The Death of a President”. Bezpośrednio po tragicznej śmierci Kennedy'ego Johnson już jako prezydent, orzejmując pełną kontrolę nad „postępami śledztwa”, prowadzonego przez FBI i komisję Warren'a. Dzięki temu trzyma ręką na pulsu sprawę, aby móc natychmiast odsunąć od swojej osoby jakiegokolwiek podejrzenia, podobnie zresztą jak inna osobistość, zamieszana w sprawę mordu na prezydencie — Edgar Hoover, szef FBI.

Jakie zatem zasadnicze wnioski wypływają z lektury materiałów i wymowy faktów zaprezentowanych w tym cyklu? Takie mianowicie, iż bez cienia wątpliwości można stwierdzić, że prezydent Kennedy padł ofiarą spisku politycznego, w który były zamieszane najważniejsze osobistości amerykańskiej sceny politycznej, czołowi orędownicy kompleksu wojskowo-przemysłowego USA, teksaskich monopoli, szefowie i wyżsi funkcjonariusze FBI, CIA i Pentagonu.

Takie, iż nie ma wątpliwości co do tego, że pomimo oczywistych związków ze spiskowcami, Lee Harvey Oswald nie strzelał do prezydenta, natomiast od momentu zawiązania się spisku miał odegrać ściśle określoną rolę — kłosa ofiarnego, na którego spadną wszystkie podejrzenia.

Tak jak nie ma również wątpliwości odnośnie tego, że zasadniczym zadaniem prac komisji dochodzeniowej pod przewodnictwem Earla Warren'a nie było wykrycie sprawców i wyjaśnienie okoliczności oraz podłoża mordu dokonanego na prezydencie, a wprost przeciwnie — jak największe ich zapieczenie i całkowite odsunięcie podjeźdźców od faktycznych organizatorów zamachu. Dlatego właśnie komisja zachowywała się podczas swej działalności tak, jak gdyby była ciałem korupcyjnym, a nie zespołem ludzi, którym powierzono ujawnienie obiektywnej rzeczywistości. Miejszy jednak nadzieje, że nie da się jej ukryć na zawsze, a pytanie postawione w tytule niniejszego odcinka, doczeka się wreszcie odpowiedzi zgodnej z prawdą.

ANDRZEJ BLAJER

HIPOTEZY

(XI)

ERICH von DANIKEN

TAJEMNICA WOJSKOWA?

Na wysokich ścianach skalnych, niedaleko miasta Mollendo, 250 mil w linii prostej od Nazca w kierunku na południe Peru oraz dalej, na pustyniach i w górach chilijskiej prowincji Antofagasta odkryto olbrzymie znaki, których znaczenia i przeznaczenia nie zdolano dotychczas wyjaśnić. W wielu miejscach widać strzały, kłaty proste i drabiny z zakrzywionymi szczeblami; można też uznać całe wzgórze wypełnionymi wzorami ornamentacyjnymi. Na stromych ścianach skalnych widać koła z promieniami skierowanymi do wewnątrz oraz owalne kręgi z szachownicą w środku, a na niedostępnym wzgórzu na pustyni Tarapacár znajduje się ogromny robot.

26 sierpnia 1968 roku chilijska gazeta „El Mercurio” donosiła o odkryciu robota (prawie 500 mil na południe od Nazca) w artykule zatytułowanym: „Nowe odkrycie archeologiczne przy pomocy zdjęć lotniczych”. „Grupa ekspertów udało się dokonać nowego odkrycia archeologicznego z powietrza. Lecąc nad pustynią Tarapacár, która leży na samym północnym skrawku Chile, odkryli stylizowaną postać człowieka narysowaną na piachu. Postać ta ma około 330 stóp (100 metrów) wysokości a jej zarz zaznaczony jest kamieniami pochodzenia wulkanicznego. Znajduje się ona na samotnym wzgórzu o wysokości około 650 stóp (ok. 200 metrów). Uczeń uważa, że poszukiwania lotnicze tego rodzaju mają ogromne znaczenie dla badania prehistorii.”

Według opinii członków ekspedycji robot ma 330 stóp wysokości. Jego korpus jest prostokątny, podobny do skrzyni, nogi ma proste a na cienkiej szyi osadzona ma kwadratową głowę, z której wystaje dwanaście prostych anten o jednakowej długości. W miejscach

goleniowe musiały mieć długość 13 stóp (3,9 metra). Żadna wyobraźnia nie może nam pomóc wyimaginować sobie, co to musieli być za ludzie ci, którzy znieśli te bloki kamienne, tworząc z nich amfiteatr. Gazeta „La Manana”, wydawana w chilijskim mieście Talca pisała: „Czy to miejsce mogło być lądowiskiem (dla bogów?) Bez wątpienia, tak.” Czego więcej można jeszcze żądać?

Do płaskowyzu El Enadrillado można dotrzeć jedynie konno. Jedzie się przez trzy godziny z malej wioski Orto Alto de Viches, aby w końcu dotrzeć do celu na wysokości 1378 stóp (420 metrów). Bloki wulkaniczne, których jest tu mnóstwo, mają tak gładkie powierzchnie, że mogą one być jedynie wynikiem bardzo starannej obróbki. Na płaskowyzu daje się łatwo zauważyć częściowo uszkodzony pas startowy długości 1000 i szerokości 65 jardów. W pobliżu uczeni odkryli i dalej odkrywają narzędzia prehistoryczne, przy pomocy których zostały przypuszczalnie obrabione 233 geometryczne bloki kamienne, każdy o wadze 20 000 funtów (ponad 9 ton).

W artykule z dnia 25 sierpnia 1968 roku gazeta „Concepción” z El Sur w Chile nazywa płaskowyz El Enadrillado „miejscem tajemniczym”. Okolica jest rzeczywiście tajemnicza, jak zresztą wszystkie miejsca z tradycjami prehistorycznymi.

Podczas prac archeologicznych i geologicznych uczeni znaleźli przewrócony monolit, który nawet w pozycji na płask wznosił się na 6 stóp (180 cm) ponad powierzchnię ziemi. Kiedy go z wielkim trudem obrócili, na drugiej stronie zobaczyli kilka wyrzeźbionych twarzy. Oto zagadka również tajemnicza jak tysiące wątpliwości związanych z Wyspą Wielkanocną. Warto wspomnieć o jeszcze jednym wyjątkowym odkryciu. Na środku płaskowyzu leżą trzy głazy o średnicach od 90 do 105 centymetrów. Podczas dokonywania pomiarów na początku roku 1969, okazało się, że dwa z tych głazów znajdują się na linii dokładnie wyznaczającej kierunek północ-południe. Z małym odchyleniem, linia biegnąca od dwu pierwszych głazów do trzeciego wyznacza na hory-

zoncie punkt, gdzie słońce latem stoi w zenicie.

Rozpisałem się tak szczegółowo o najnowszych odkryciach na płaskowyzu El Enadrillado z dwu powodów. Po pierwsze dlatego, że są one znane w Europie tylko w stosunkowo wąskim kręgu specjalistów, a po drugie, bo pasują doskonale do mojej teorii, że znaki w zatoce Pisco są początkami linii prostej ciągnącej się aż do dalekich północnych krańców Chile, wzdłuż których zbudowane zostały pola dla lądowania kosmonautów.

Powinnością zawsze pamiętać o tym, że choć twórcy starych kultur zniknęli, to ślady, które pozostawili stanowią dla nas zagadkę i wyzwanie. Aby znaleźć właściwe rozwiązania zagadki, aby podjąć rzuczone wyzwanie archeologiczne instytucje badawcze powinny otrzymać odpowiednie fundusze od swych rządów i, być może, od organizacji międzynarodowych w celu usystematyzowania i intensyfikacji swych badań. Jest rzeczą właściwą i konieczną, aby kraje uprzemysłowione inwestowały miliony funtów w badania przyszłościowe lecz dającego badanie naszej przeszłości miałyby być traktowane z tego powodu jak Kopciuszek? Może nadejdzie taki dzień, w którym narody rozpoczną wyścig w badaniach archeologicznych, którego rezultaty otoczone będą ścisłą tajemnicą wojskową. Wtedy zaistnieje sytuacja podobna tej, której byliśmy świadkami przed lądowaniem ludzi na Księżycu. Lecz wyścig, który się wtedy rozpocznie będzie nie tyle sprawą prestiżu ston, ile kwestią wyciągnięcia odpowiednich zysków.

W związku z tym chciałbym wspomnieć o kilku miejscach, gdzie intensywne, nowoczesne badania mogłyby najprawdopodobniej rozwiązać wiele zagadek z naszej przeszłości z jednakością korzyścią dla rozwoju techniki. Na wyspie Santa Rosa w Kalifornii odkryto pozostałości osady ludzkiej, której wiek określony przy pomocy izotopu C-14 wynosi 29 600 lat.

Dwanaście mil na południe od hiszpańskiego miasta Ronda, w samotnej dolinie górskiej, znajduje się jaskinia La Pileta. Można udowodnić, że w tej jaskini mieszkali ludzie między 30 000

a 6 000 rokiem p.n.e. Ściany jaskini pokryte są dziwnymi, stylizowanymi znakami, które nie są jedynie bezmyślnymi gryzmołami, ponieważ są starannie wykonane i poszczególne znaki powtarzają się. Być może jest to jakiś rodzaj pisma.

W górach Ennedi na południu Sahary, Peter Fuchs odkrył skalne płaskowyzby czterech postaci kobiecych, które nie mają odpowiednika w całej Afryce. Szaty kobiet oraz widoczne na ich ciałach tatuaże podobne są do ubiorów i tatuaży spotykanych na południowym Pacyfiku. Jednakże odległość między południem Sahary a wyspami Pacyfiku wynosi w prostej linii 15 625 mil!

Tak zwane meandry są od dawna znane z wielu rysunków jaskiniowych w Afryce i Europie. Są to rysunki labiryntów i jak dotąd, nikt nie wie, co o nich sądzić. Jednakże ostatnio odkryto te symboliczne labirynty na ścianach jaskiń w Ameryce Południowej, najwięcej w Territorio Nacional de Santa Cruz i Territorio de Nacampuen w Argentynie. Czy artyści, którzy je stworzyli, porozumiewali się między sobą? W jaki inny sposób mogłyby wyrażać powtarzanie się tych samych symboli?

W meksykańskim parku-muzeum w Villahermosa w Tabasco stoi ładnie rzeźbiony monolit, na którym wyobrażony jest wąż, a raczej smok, zajmujący trzy ściany bloku. Wewnątrz w bestii siedzi pochylony człowiek z podniesionymi i wyciągniętymi rękami. Stopy oparte ma na pedałach, lewa ręka spoczywa na dźwigni, a prawa w prawej ręce trzyma małe pudełko. Głowa znajduje się w dopasowanym hełmie zakrywającym brwi, uszy i podbródek a odkrywającym twarz. Na wprost ust człowieka znajduje się przyrząd, który można zidentyfikować jako mikrofon. Urbanie oraz hełm siedzącej postaci są do siebie ciasno dopasowane.

Czy to wszystko? Nie, jesteśmy jedynie u progu wielkich odkryć, które z mroków przeszłości wskazują drogę w przyszłość.

Opracował:
B. KRAKOWIAN

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

DWOREK NORWIDA

Bardzo szanuję prof. Wiktora Zina, z zainteresowaniem oglądam jego audycje i słucham gwał. Nie należę nawet do liczego grona przeciwników stylu narracji profesora. Składam te oświadczenia nie dlatego, aby się w jakiś sposób asekurować, ale po prostu po to, aby moim poniższym uwagom odebrać charakter ataku wynikającego z przesłanki innych niż merytoryczne.

A meritum jest takie: prof. Zin w sposób wielce złośliwy i mało sympatyczny zaatakował właścicielkę dworku Norwida w Laskowie. Telewizja pokazała zdjęcie tablicy z napisem „własność prywatna, wstęp wzbroniony”, a profesor uderzył w patos, że to przecież jest własność narodowa.

Niezupełnie tak jest. Własność narodową stanowi dorobek Norwida. Natomiast dworek, w którym się urodził we wsi Laskowo-Głuchy ko-

ło Radzymina przez całe lata nikogo nie obchodził. Ulegał powolnej dewastacji i ruinie. I gdyby nie wybitny artysta, który dworek ów kupił przed paroma laty — dziś byłaby to tylko kupa gruzu.

Dziwne, że nikt — łącznie z profesorem Zinem — nie dał w surmy bojowe, kiedy kompetentne i odpowiedzialne urzędy konserwatorskie patrzyły spokojnie na niszczący dworek w Laskowie. Nikt nikomu wówczas nie czynił złośliwych aluzji, nikt nie rysował zławych obrazków, jak to szkolne wycieczki dworek Norwidowy oglądają zza płotu. Oczywiście — wówczas naprawdę nie było co oglądać.

Ale znalazł się człowiek, który postanowił swoje własne, zarobione tu w Polsce, dzięki swojemu talentowi, pieniądze zainwestować w uratowanie od ruiny zabytkowego obiektu. Mógł kupić kremowego Rolls-

Royce'a, albo zbudować wille w stylu kalifornijskim. Nie zrobił tego. Odręstaurował i odbudował niszczący zabytek, o którym wszyscy — zda się — zapomnieli.

Uratował więc, z własnej inicjatywy i za własne pieniądze jakąś wartość materialną. Teraz więc żąda się od niego, aby zaangażował kustosza i przewodników, opuścił legalnie kupiony dworek, żeby raz w miesiącu przypadkowo wycieczka mogła zobaczyć „od środka” ściany, w których przyszedł na świat Cyprian Kamil Norwid.

Czy to nie paradoksalne? Muszę przyznać, że zdumiał mnie ta argumentacja prof. Zina, że wprawily mnie w zażenowanie te wszystkie złośliwości, ta ironia i niechęć do artysty, który uratował od ruiny miejsce urodzenia innego artysty. I kto to mówi? Obrótna zabytków, czyli dokumentalista pomników architektury.

Pamiętam, jak przed wielu laty GS w Uniejowie magazynowała ziemniaki w pięknych salach miejscowego zamku z XIV wieku. Piękny zabytkowy obiekt był wówczas kompletną ruiną i tych kilka sal na parterze

nadaowało się co najwyżej na magazyn węgla i ziemniaków. Nawiasem mówiąc zniszczone wówczas piękne malowidła ściennie w zamkowej kaplicy.

Nie było wówczas obrońców, zamku, nikogo nie obchodziła dewastacja i ruina. Ale po latach ktoś zmyślał, ktoś podjął decyzję i uniejowski zamek odbudowano. Iluż wtedy znalazło się specjalistów, wybrzydających, że to nie tak, że trzeba było inaczej... Ci, którzy spokojnie patrzyli przez lata na sterty ziemniaków w zamkowych salach, raptem poczuli się dotknięci do żywego, że w jednej z komnat zrobiono stylową restaurację i kawiarnię.

Czy to nie paradoksalne? Norwidowy dworek w Laskowie koło Radzymina uratowała konkretny człowiek. Chwała mu za to! Bez względu na to, czy zrobili to artyści czy budydylar spod Warszawy — fakt ten cieszy mnie w o wiele większym stopniu niż profesora Zina irytuje tablica „własność prywatna”.

WIDOK

LEWYM OKIEM

PROSZĘ MÓWIĆ!

Tyle już było tych głów wających na puszczy, tego grochu rzucającego o ścianę, tego gadania do obrazu... Trudno jednak nie wolać, trudno zrezygnowanym milczeniem dawać komuś, niewątpliwie konkretnie istniejącemu, powód do samozadowolenia. Oto więc jeszcze jedna garść owego przyszłowiego grochu.

Na biurkach naszych sekretarzy telefonów się już od dawna nie mieszczą. Służą do tego osobne stoliki, stanowiące obok czajnika i tacy ze szklankami malowniczo rekwizyt dyrektorskich przedmiotów. Na stoliku pięć, sześć, dziewięć aparatów różnego kształtu i barwy, poplątane kable, koncert dzwonek, brzęczyków i pomruków. W listach, publikowanych przez „Politykę” a następnym do redakcji tego pisma na hasło: „Uczy się — choćby od diabła” — już dwukrotnie znalazłem informację o zwyczajach zagranicznych typów: „Nie przerywaj telefonu, których notabene znacznie mniej niż na naszych

biurkach.” Mniej telefonów niż u nas? Mimo że jesteśmy jednym z najmniej telefonizowanych krajów w Europie?

No tak, mniej, ale tamte działają. Cóż to za wspaniały wynalazek: działający telefon! Podnosi się słuchawkę, nakręca numer i rozmawia! Fantastyczna rzecz!

Na moim urzędowym biurku też stoi telefon. Jeden, a właściwie żaden — Czasem dzwoni. Wtedy podnoszę słuchawkę, przedstawiam się i albo nie usłyszę nic, albo usłyszę „pomyłki” — i trzask słuchawki. Czasami usłyszę też dwie rozmowy na krzyż, kapitalnie się nawzajem uzupełniające. Gdy się odezwę, cztery głosy krzyczą na mnie ze złością, żebym nie przeszkadzał. Miłknie więc i słucham wynurzeń o kłopotach rodzinno-romantyczno-zdrowotnych. Czajem ludzę się, że ze swej strony zdołam się połączyć z żądanym rozmówcą. Po nakręceniu zera powinien być sygnał miasta, albo nie ma. Jest głucha cisza, albo cieniutki fujarkowaty dźwięk,

który zagnieździł się w słuchawkach od niedawna i nie wiem, co oznacza. Czasami jest sygnał „zajęte”. Można się denerwować, ale to jest przynajmniej normalny, ludzki sygnał. Widocznie na wszystkich połączeniach centrali z miastem toczą się rozmowy. Próbuje jeszcze raz, jeszcze dziesięć, dwanaście razy. Zero — zajęte, zero — zajęte. Za którymś tam razem prztyk w aparacie i cisza. Teraz wiadomo, że aparat zamilkł na dobre i trzeba będzie nadać wiadomość przez gołębia pocztowego, albo zanieść samemu, co jest drogą najszczęśliwszą.

Raz na tysiąc po nakręceniu zera słyszy się wolny sygnał miasta. Wtedy nakręcam numer rozmówcy i znowu bardzo często małwa cisza. Albo tamta cieniutka fujarka. Albo sygnał, że numer wolny, czekam aż adresat podniesie słuchawkę — ba, wolny nagle zamienia się w zajęty. To są nagminne zjawiska. To jest jedna wielka nerwowa szarpanina.

Kiedy uda się, że słuchawkę podniesie jednak ów wymarzony, wyteściony rozmówca, może jeszcze okazać się, że albo mnie wcale nie słyszy i po kilku bezradnych „hallo” odkłada tubkę na wiedełki, albo zaczęta rozmowa po paru sekundach urywa się w pół słowa, albo za-

gluszą ją potężne buczenie lub piskliwy świergot jeszcze innego rodzaju, również nowości w naszym telefonicznym świecie. Można ugryźć się w kabel, zgłębować wiedełki i rzucić aparatem w reklamowy kalendarz: cała walka o połączenie na nic.

W domu też mam telefon. Dzwoni o różnych porach dnia i nocy. Gdy poderwany ze snu, czy od stołu, czy od pracy — podejść, w słuchawce brzęczy niewinny sygnał „wolne”. Albo nie brzęczy nic, aż w uchu cisza dzwoni. Wielu znajomych ma telefony w domu. Nie rozmawiamy jednak ze sobą. Za dużo nerwów kosztuje uzyskanie połączenia. Zwłaszcza z tymi na cyfrę „9” z Polesia. Stracona pozycja.

Nie mówię już o międzymiastowych, o panienkach z centrali i o tych z reklamacji. Nie są przecież wyjątkiem — znamy te odzywki ze sklepów i z tysięcy różnych urzędowych okienek. Każdy z nas jest zawsze wszystkim winien, jest głupi, nie umie nakręcić numeru, nie umie rozmawiać, nie dosłysz i jeszcze się denerwuje. Ale może panienki też mają czasem interes do telefonicznego załatwiania? Zycze dogodnych, szybkich, sprawnych połączeń.

ŚWIEK

PROPOZYCJE

NAJWIĘKSZY AMBARAS

„Z tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz” — pisał dawno temu Boy, a stwierdzenie to mimo znacznego upływu czasu nie straciło ze swej aktualności. Widąc Boy odkrył jedną z prawd uniwersalnych, a nam zawiądział o tym w żartobliwym wierszyku „Stefania”. I zrobił słusznie. Wielu ludzi nie pamięta już dokładnie, o co w tej „Stefanii” chodziło, ale konkluzja Boya cytuję niemal na prawach ludowego porzekadła.

Często przecież zdarzają się nam takie sytuacje, które możemy spokojnie skwitować stwierdzeniem, że wielki to ambaras, kiedy dwoje nie chce na raz. Niedawno uczestniczyłem w rozmowie o organizacji naszego życia zawodowego. Wszystko u nas dzieje się w zasadzie w tym samym czasie. Większość instytucji, urzędów, przedsiębiorstw działa w godzinach przedpołudniowych. Utrudnia to nam życie, ale wszyscy jakos do tego przyzwyczajamy się i powoli zaczynamy wszelkie próby naruszania tego porządku traktować jako atak na naszą przywileje i swobody.

Nie od dziś wiadomo, że łódzka komunikacja nie należy do najlepszych działających i również to ponosi anachroniczny układ komunikacyjny. Aby jednak zmniejszyć ten układ trzeba czasu i wielkiego wysiłku. Ale czy przedtem nim wykona się to, potrzebne — nie można byłoby wprowadzić jakichś usprawnień? Można byłoby. Wy-

starczyłoby na przykład, aby niektóre zakłady pracy zaczynały pracę w bardziej rozłożonym czasie, a już tzw. szczyty komunikacyjne byłoby zmniejszone.

Mój rozmówca, któremu przedstawiłem te propozycje, popatrzył na mnie uważnie, tak, jakby podejrzewał, że z niego kłpie. Ale spojrzenie miałem jasne, szczere, pełne ufności. Pokiwał więc głową, kłując się nad moją naiwnością. I wyjaśnił, że MPK próbowało już tego prostego rozwiązania, ale zakłady pracy, do których z taką propozycją zwracano się odpowiedzialni, że dla nich nie ma sprawy, dojeżdża do nich niewiele osób, więc niech kto inny przesuwa godziny rozpoczęcia i końca pracy. A w miesiąc później zwracali się o kupno większej ilości biletów miesięcznych dla swoich pracowników. Można tylko westchnąć i przypomnieć zakończenie Boyowskiej „Stefanii”: „Z tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz”.

Innym znów razem usiłowalem dojść przyczyn wykonywania pewnych robót ulicznych w godzinach największego ruchu na tych ulicach. Tak na przykład ulicę Piotrkowską i przyległe przez cały niemal kwiecień malowano w godzinach rannych i południowych. Również prace drogowe wykonuje się u nas w czasie, kiedy ruch jest największy. A przecież w wielu krajach świata prace te i temu podobne wykonuje się wtedy, kiedy ruch jest najmniej-

szczy, kiedy nie dezorganizują one życia miasta.

Przyczyny doszedłem. Próbowano już pracować wieczorami i nocą, ale mieszkańcy rejonów, gdzie prowadzono takie prace nieustannie protestowali, domagając się spokoju i właściwych warunków dla wypoczynku. W tej sytuacji wybiera się mniejsze zło, decydując się na częściową dezorganizację życia miasta, aby nie dezorganizować ludziom wypoczynku. Nawet w niektórych rejonach miasta godzinny opróżnianie kubłów ze śmieciami przesunięto z godziny 6 na godzinę 6.30, aby tylko nie zakłócać ciszy. Chwali się także poszanowanie woli mieszkańców, ale trzeba sobie też otwarcie powiedzieć, że nie ma to nic wspólnego z nowoczesną organizacją pracy, która każe tak czas wykorzystywać, aby móc uzyskać jak największe przyspienie w wykonywaniu zaplanowanych zadań. Proponuję więc nie dziwić się, że miesiącami chodzimy po rozkopanych i rozbarwionych ulicach, jeśli pracuje się na nich tylko po 8 przedpołudniowych godzin i to czasem pracuje się teoretycznie, gdyż albo na budowę takiej zupełnie nie ma ludzi, albo śpieszą się oni aż nadto powoli.

Istnieje spory zestaw zajęć, które można byłoby spełniać w takiej porze, aby nie zakłócały one normalnego toku w życiu miasta. Od lat już mówi się o tym, że na przykład zaopatrywanie sklepów nie powinno w ni-

czym hamować normalnej ich działalności. Ale jest to postulat ciągle aktualny, bo nie realizowany. Nie wspomnę już o remanentach i inwentaryzacjach, które na kilka dni wytrącają z normalnej działalności różne sklepy i punkty usługowe. W wielu krajach czynności te wykonuje się w takim czasie, że klient nawet tego nie domyśla się, gdyż nie go to nie powinno obchodzić.

Przeglądanie się mechanizmom działania wielu dziedzin naszego życia nasuwa przypuszczenie, że funkcjonują one bardziej dla siebie i że motorem tego są przepisy i formalności a nie społeczne potrzeby. Zasadę tę znakomicie ilustruje historia przystrojona niedawno przez nieocenioną „Zywock Gospodarzy” — od lat funkcjonujący na lamach „Życia Gospodarczego”. Przynosi on relacje ze zdarzenia, jakie miało miejsce w jednym z przedsiębiorstw Bydgoszczy. Zmarł tam najstarszy z pracowników. Dyrektor poszedł nawet na jego pogrzeb. Ale w 22 dni po pogrzebie nieboszczyka przesłał mu oficjalnie wypowiedzenie pracy z powodu... śmierci. Aby wszelkim formalnościom stało się zadość. Nieboszczykowi było ono niepotrzebne, ale w aktach — tak. Właśnie. Czasem to i owo robimy tylko po to, aby się wszystko w aktach zgadzało. Tylko, że tak naprawdę, to chodzi tu zupełnie o coś innego. I nie jest dobrze, jak się tego nie widzi.

MARCIN RODAK



GHANA

Autorem Zbigniew Filipow, architekt, który parę lat pracował w Ghanie przynosi nam do tego egzotycznego kraju, opisując szereg ciekawostek i własnych przygod. W ten sposób zaznajamiamy się nie tylko z krajobrazem politycznym i gospodarką, ale poznajemy także ludzi — od urzędników wysokich szczebli, profesorów wyższych uczelni po zupełnie prostych, niewykształconych ghanczyków, z którymi Filipow także przecież się stykał w czasie swojej pracy w Afryce zachodniej.

W sumie jest to interesujące studium na temat nieznanej nam, którego rola przecież wciąż się zwiększa wraz z rosnącą rolą całego afrykańskiego kontynentu. Dowiedzieć się z tej książki możemy zarówno o rolnictwie (kakao!) wyczerpaniu i handlu, o osobliwościach roślinno-klimatycznych, o historii kraju od XV wieku po dzień dzisiejszy, o zwyczajach ludności i — oczywiście, jako że autor jest architektem — o problemach budowy i przebudowy ghanckich miast.

A donieść książka napisana jest żywo i z głębokim, osobistym zaangażowaniem autora, który polubił ten kraj i związać w nim ludzi i krajobraz. Lektura daje nam tylko ogromną porcję wiedzy, ale sprawia po prostu wiele przyjemności. Jak każde odkrywanie nie znanych spraw, jak ciekawa podróż w nieznane.

Zbigniew Filipow „Ghana”. Wiedza Powszechna, cena 45 złotych.

DOM NA PLACU WASZYNGTONA

W PIW-wowskiej serii „Klubu Interesującej Książki” znajdujemy prawie zawsze pozycje znakomite. Różnorodność epok, obszarów językowych i stylów pisarskich jest także godnym zauważenia wyróżnikiem tej serii.

Niedawno ukazała się tu książka Henry Jamesa „Dom na placu Waszyngtona”. James urodził się w pierwszej połowie XIX wieku i jest klasycznym amerykańskim prozą. Długo lata mieszkał w Anglii, uprawiał także krytykę literacką. Henry James zajmuje czołową pozycję w literaturze światowej, a jego wpływ na licznych pisarzy był i pozostaje nadal bardzo żywy. Z tego bogatej twórczości udostępniono, jak dotąd polskiemu czytelnikowi takie książki jak: „Amerykanin”, „W kleszczach tekur”, „Ambasadorowie”, „Daisy Miller i inne opowiadania”.

„Dom na placu Waszyngtona” to powieść psychologiczna, której treścią są dzieła nieszczęśliwej miłości pozornie nieciekawej, lecz bogatej dziewczyny od młodego człowieka gońcącej za posażą. Dzięki swojej indywidualności pisarskiej Henry James stwarza wokół tego schematycznego wątku kilka niezmiernie plastycznych i ciekawych postaci.

Henry James „Dom na placu Waszyngtona”. PIW, cena 20 zł.

W OPARACH ABSURDU

Antoni Słonimski i Julian Tuwim obok swojej powszechnie znanej „poważnej” twórczości uprawiali także, rodzaje disartria przydatne raczej dla króćków literackiej zabawy. Przed wielu laty zebrano te ulotne teksty w uroczą książeczkę „W oparach absurdu” — obecnie ukazało się drugie, rozszerzone wydanie tej publikacji.

Zebrał ten nonsensy pisane były głównie dla potrzeb gazety — Kieriera Porannego. Jak pisze Słonimski: „nie była to sporadyczna zabawa a raczej stała potrzeba dla której odchodziłmy co niewien czas na stronę, przerywając normalną pracę literacką”.

Cóż to były za teksty? A więc ormaiparilissowe dodatki „Kieriera Polskiego”, specjalny numer „Wiadomości Literackich”, jakich posażem. Dzięki swojej indywidualności artysty Hugo Banera. Ten ostatni „numer” powtórzony na latach Konstancy Biedrons Galezyńskiej wyrażając odczyt o anielskim poecie, który także istniał wyłącznie w wyobraźni autora.

Ulodne teksty tworzone w oparach absurdu zawierała na przykład takie rewelacje nonsensu, jak: „alfabetyczny spis liczb od 1 do 100, albo alfabetyczny spis miesięcy zaczynający się od czerwca a kończący na wrześniu. Jest tam menu na cały rok — menu, którego podstawa sa wyłączenie... trzyby. Ot, takie sobie żartobliwe, literackie bzdki.

Czemu to wszystko, służyle? — mógłby zarzytać zdziwiony czytelnik. Odpowiada na to Antoni Słonimski: „Wszystkie nasze kalendarze, broszury, dodatki nadzwyczajne, odczyty, które podważały powagę słowa, uczyły czytelnika wrażliwości na brednie, podziwialiwość wobec frazesów, pokazywały czarnej farbą na szarej białej papierze, że te same czcionki na tych samych lamach prasowych mogą stworzyć zupełnie idiotyczny, „czysty absurd” tworzy klimat nie sprzyjający wszelkiej solenności, patetycznej frazeologii, usłmiera to, co Wells nazywał powszechną skłonnością ludzkich umysłów do przyjmowania prawd usłwieconych”.

Antoni Słonimski i Julian Tuwim „W oparach absurdu”. Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena 35 zł.

TYDZIEŃ PLASTYKI ŁÓDZKIEJ

- 26.V.75 r. — Nowa ekspozycja rzeźby plenerowej — Galeria Rzeźby (propozycje zakupów dla miasta)
- JADWIGA JANUS — rzeźba — Salon Sztuki Współczesnej
- EDWARD i JANINA HABBASOWIE — malarstwo — Hall Urzędu Wojewódzkiego (26.V. — 15.VI. 1975 r.)
- EDWARD HABBAS — akwarele — Wldzewska Galeria Sztuki (24.V. — 15.VI. 1975 r.)
- ANDRZEJ SZONERT — malarstwo — Klub Nauczycieli
- 27.V.75 r. — IV OGÓLNOPOLSKA WYSTAWA POKONKURSOWA GRAFIKI w środku Propagandy Sztuki, otwarcie o godz. 12.00 — uroczysta inauguracja Tygodnia Plastyki
- Aukcja dzieł sztuki na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia, Fundusz Opieki Społecznej i odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie o godz. 18.00 — Klub Dziennikarza, ul. Piotrkowska 96
- 28.V.75 r. — MARIJA KAWALEROWICZ — malarstwo — Galeria „L”
- CZESŁAW WOJCIECHOWSKI — grafika — Galeria „Na piętrze”, inauguracja Galerii Klubu Młodych
- 29.V.75 r. — KIERMASZ PRAC STUDENTÓW PWSS na St. Rynku
- 30.V.75 r. — Otwarcie wystawy plastycznej prac laureatów m. Łódź i woj. łódzkiego, uroczyste zebranie działaczy Społecznego Komitetu Ochrony Zabytków — w nowej siedzibie BWA i Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, ul. Wólczańska 31
- 30.V. i 31.V. Sejsja nt. „Film — sztuka obrazu” Łódzki Dom Kultury
- 31.V.75 r. — ANDRZEJ GIERAGA — malarstwo — Salon Sztuki Współczesnej (31.V. — 12.VI. 1975 r.)
- 1.VI.75 r. — KIERMASZ PRAC STUDENTÓW PWSS na St. Rynku
- 2.VI.75 r. — WŁADYSŁAW HASIOR — spotkanie nt. „Sztuka powiatowa”, Klub ZPAP „Piwnica”
- 3.VI.75 r. — JOZEF MRÓZ — malarstwo — Klub Dziennikarza
- 4.VI.75 r. — RADA ARTYSTYCZNA Okręgu Łódzkiego ZPAP „Kształtowanie środowiska człowieka” wystawa poplenerowa pleneru w Olkuszu wystawa nie zrealizowanych projektów plastycznych („Elita”) godz. 11.00
- 6.VI.75 r. — LESZEK ROZGA — malarstwo, grafika, rysunek — otwarcie 6.VI.75 r. Galeria Bałucka — inauguracja galerii

MAGAZYN

ODGŁOSY



Fot. Archiwum

Nazwisko Lecha Orlewicza dobrze jest znane słuchaczom radiowych audycji muzycznych oraz czytelnikom kącików piosenki w gazetach codziennych, gdyż młody kompozytor opublikował już blisko pięćdziesiąt utworów rozrywkowych czy to w formie nagrań radiowych i płytowych, czy też poprzez druk ich nut w prasie, nie mówiąc już o codziennej działalności estradowej. Toteż jego twórczość, obejmująca, obok piosenki, muzykę filmową i teatralną, a także małe formy symfoniczne, zdobywa sobie coraz większą popularność. Dla wielu z nas kojarzy się przede wszystkim z „Pastoralkami polskimi”, kompozycją do cyklu wierszy Jerzego Harasymowicza, którą uważa się za największe osiągnięcie Orlewicza. Ale warto posłuchać jak wypowiada się on w muzyce ilustracyjnej pisanej na użytek

kina i teatru, aby stwierdzić, że młody autor coraz częściej podejmuje próby ambitniejszej organizacji materiału dźwiękowego, że poszukuje własnej

PORTRET MŁODEGO KOMPOZYTORA

drogi poza tradycyjną estradą piosenkarską.

A zaczęło się to wszystko, oczywiście, od piosenki, choć droga do niej prowadziła skomplikowanymi meandrami. Pochodził z rodziny muzyków (matka ukończyła konserwatorium w klasie śpiewu, wuj jest skrzypkiem), ale stosunkowo późno odkrył swoje właściwe powołanie. Dopiero w szkole średniej podczas przesłuchania zwrócił na niego uwagę kierownik Zasadniczego Studium Muzycznego, Srótkowski i skierował do klasy śpiewu profesor Niny Jurdziskiej, primadonny Opery Łódzkiej. W ciągu czterech lat nauki wokalistyki poznał solfeż, zasady harmonii, funkcje muzyczne, uczył się także gry na fortepianie i gitarze. Zdobywszy niezłe podstawy zdał egzaminy na Wydział Wychowania Muzycznego Studium Nauczycielskiego w Łodzi, a następnie podjął pracę w Szkole Podstawowej nr 14 i w XVII Liceum Ogólnokształcącym. Jednocześnie studiował na Wydziale Kompozycji Wyższej Szkoły Muzycznej w Poznaniu.

Jego debiut kompozytorski nastąpił w roku 1970, kiedy to na estradzie Klubu Dziennikarza w Łodzi Henryk Stefanik zaśpiewał osiem jego piosenek. Prowadził wówczas Orlewicz zespół amatorski w PSS „Społem”. Jedną z solistek tego zespołu, wykonującą jego kompozycje, przeszła przez sito eliminacyjne Ogólnopolskiego Festiwalu Artystycznego Związków Zawodowych i zakwalifikowała się do finału. Wtedy to zwrócił na Orlewicza uwagę red. Edward Dulski z Polskiego Radia w Łodzi. I choć nie nastą-

ły między innymi w Bułgarii, Czechosłowacji, w NRD, a także w Stanach Zjednoczonych, na Węgrzech i w Związku Radzieckim.

Krag autorów — poetów piszących do kompozycji Orlewicza jest dość szeroki, że wymienię Kazimierza Drobika, Krzysztofa Drzewieckiego, Romana Gorzelskiego, Andrzeja Michalskiego, Włodzimierza Scislowskiego, Jerzego Wilmańskiego. Wśród wykonawców jego piosenek zwracają na siebie uwagę Jolanta Kubicka, Ewa Snieżanka, Krzysztof Cwynar, Krystyna Wawrzkiwicz, Kazimierz Konrad i oczywiście zespół „A'Vista”.

Nie można też zapominać o organizatorskiej działalności młodego kompozytora. Z jego inicjatywy powstała przecież Łódzka Głędka Piosenki przy Klubie Dziennikarzy, która utworzyła drogę na estradę wielu wykonawcom, autorem tekstów i kompozytorom. Obecnie w tym samym klubie Orlewicz prowadzi wspólnie z red. Henrykiem Ciskim cykl audycji estradowych „Rozkosze łamania głowy”, gdzie także, obok wykonawców uznanych, próbują swych sił debutanci.

Ale najwięcej uwagi i ambicji Orlewicza pochłania ostatnio już nie muzyka rozrywkowa, lecz popularna. Współpracuje głównie z Teatrem Ziemi Łódzkiej („Sabat życia”, „Don Kichot wyzwolony”, „Wódka, wódeczka”) oraz ze Studiem Małych Form Filmowych „Sema-for” („Ewolucja”, „Czy wiesz co to jest?”, „Prognoza”, „Grzyby”). Ostatnio napisał muzykę do pierwszego odcinka serialu Mariana Kielbaszczaka pt. „Cień na firance” i pracuje nad muzyką do następnych części. „Film bowiem — jak stwierdza kompozytor — mimo rygorów czasowych, mimo ulamkowości okresów (co jest podyktowane obrazem) pozwala na bogatą instrumentację kompozycji i daje dużą możliwość wypowiedzi autorowi”.

JERZY DARNAL

JEDŹ nad MORZE!



Fot. Archiwum

POWIĘKSZENIA

PRÓBA CZASU

Nasz ulubieniec z „Przekroju” (rog), znany z taktu i kurtuazji pisze, przy okazji występu Jerzego Polomskiego w ZSRR, że „Nie liczymy ludziom lat, ale (rog) także z powodzeniem wytrzymuje próbę czasu”.

ULICA OPACZEWSKA

Autor recenzji w „Zyciu Literackim” z dzieła Jana Szczeniaka „Poezja polski walczącej” wspomina o bliżej nieznanej „ulicy Opaczeńskiej”. Ten słynny wiersz („Ja jestem zła ulica... Nie przystępuj do mnie”) J. Janiczka mówi o ulicy Opaczeńskiej w Warszawie. Zaraz po nim, że pisał to „Kraukauer”. W rewanżu jakis autor mieni się przy ulicy Wiślna n.e.j.

POETYCKI REFERAT

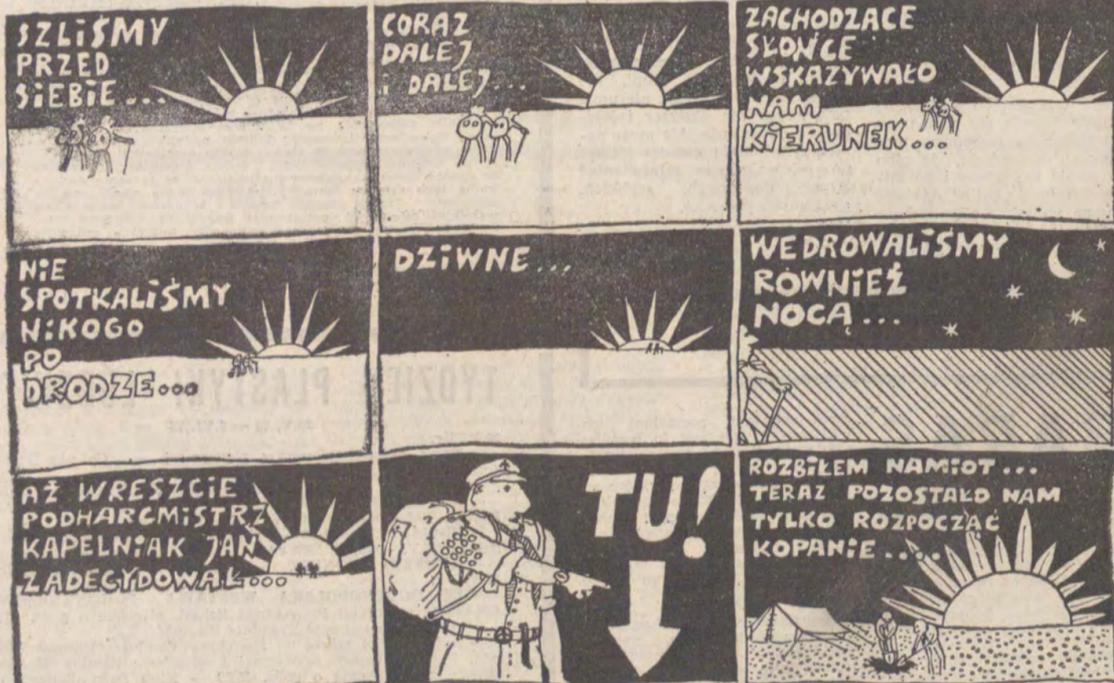
Poeta Janusz Styceń drukuje w czasopiśmie „Student” swoje wystąpienie na wieczorze autorskim — nagrane na taśmie i przepisane. W ten sposób przemówienie Janusza Styceńskiego osiągnęło rangę referatu. Gratulacje!

JAKO RZECZE GRZELECKI

Stanisław Grzelecki z „Zycia Warszawy” bardzo lubi interpretować cudze teksty, filmy i rysunki. Ostatnio zgnął Szymona Kobylńskiego za rysunek w „Polityce”. Według Grzeleckiego Kobylński ma niesłuszny pogląd. Całe szczęście, że publicysta „Zycia Warszawy” ma zawsze słusze poglądy.

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

RYSOWAŁ:
JACEK
BROMSKI



AKCJA NIEWIDZIALNEJ RĘKI: POD HASŁEM: „KOPIEMY STUDIUM NA SAHARZE” TRWA!!!

©1975 FIRST PUBLISHED IN POLAND BY all rights reserved OGDŁOSY LTD * COPYRIGHT BY Jacek Bromski

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...”

NOWE TEORIE MAGISTRA

Magister Jan Bolski przerywając się z estetyki kina na estetykę podglądactwa na tym polu otworzył nowe perspektywy. Nowością w skali światowej jest podział samej czynności podglądania na trzy zasadnicze czony: A. Przygotowanie podglądania. B. Podglądanie właściwe. C. Zakończenie podglądania. Wszelkie dowolne zmiany w wyż. wym. porządku mogą odbić się ujemnie na samopoczuciu podglądającego. Obiektem podglądania winna być w zasadzie pleć przeciwna lub w wypadkach uzasadnionych przyroda. Zdaniem magistra Jana Bolskiego podglądanie przyrody jest technicznie prostsze lecz doznania estetyczne są w tym wypadku skromniejsze.

NASZA TROSKLIWA PROŚBA

Redakcja organu „Małe kino” zwraca się z prośbą do Czytelników o nadsyłanie mobilizujących hasel, które pomogłyby Naszym Filmowcom w ich trudnej pracy. Hasła mogą być pisane prozą lub wierszem lecz na końcu winny mieć przynajmniej jeden wykrzyknik, który by zagrzewał. Redakcja „Małego Kina” gwarantuje

je autorowi (-ce) najlepszego hasła, iż o jego osobie zostanie nakręcony w wieku XXV piękny film historyczny.

MĘSKA PROŚBA

Pan J. K. z Łodzi w specjalnym liście powiadomił Brigitte Bardot, iż zdaje sobie sprawę, że nie ma jeszcze w tej chwili szans. Czekaj jednak spokojnie na widoczne zestarzenie się gwiazdy. Wówczas szanse pana J. K. z Łodzi wzrosną i będzie mógł on wreszcie zaprosić do aktorkę na podwieczorek do Baru Rybnego. Ponieważ pan J. K. z Łodzi ma dużo innych spraw na głowie, uprzejmie prosi Brigitte Bardot, by w interesie obu stron powiadomiła go kilka dni przed określonym przez siebie terminem.

KŁOPOTY Z DOBROBYTEM

Znana ze swoich kapryśków filmowa aktorka amerykańska Zuzanna Bualo, zmienia tak często pleć jak inni rekwizycyści. Do tego doszło, że aktualny pleć gwiazdy zmuszony był prosić ją, by nie czyniła tego w godzinach wieczornych, gdyż uniemożliwia mu to skupienie się przed zaśnieciem. Zawstydzona gwiazda przyrzeka poprawę i pleć od tej chwili wieczorem utrzymuje.

ROZPACZ HUMANISTY

Angielski scenarzysta naukowy D. Damon rozplakał się nagłe w czasie konsumowania kawioru. Zapytany przez przyjaciół o przyczynę płaczu wyjaśnił, iż bardzo żał mu małych, nie narodzonych wskutek tego lakomstwa rybaka. Po tym wyjaśnieniu scenarzysta naukowy oświadczył, że i z powagą kawior dokończył.

WIOSNA 1975 — w nowych okryciach

ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLU ODZIEŻĄ UBIERA MODNIE!

Zapraszamy Panie i Panów do naszych sklepów przy ul. ul.: Piotrkowskiej 9, 14, 15, 87, 90, 81, 78, 154, 189, 207, DH „Teofil” — Aleksandrowska 38

POLECAJĄC:

PŁASZCZE
GARNITURY
SUKNIE
BLUZKI

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00 wew 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamawia rekwizycji, nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótu. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28, Zam. 1018, U-12. Nr indeksu 37006/36762